**Nr. 24 (1224).** **Warszawa, 29 Maja (11 Czerwca) 1904 r.** **Rok XXIV.**

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

**z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

***Adres: Sadowa Nr. 14***

**Redaktor przyjmuje interesantów** we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

**Administracya otwarta codziennie,** z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



**Szan. Abonentom kwartalnym i półrocznym przypominamy termin przedpłaty.**

## POLITYKA.

### Vis grata.

Było w dawniejszej teoryi prawa, a raczej człowieka kryminalnego, przy pewnego rodzaju przestępstwach, pojęcie gwałtu miłego, pożądanego, przez panującą wówczas łacinę w odpowiednią nazwę obwijane. Wygnała je podobno już niepowrotnie kryminalistyka postępowa, ale nie wyparowała go jeszcze z siebie, pod wielu względami w niejednym momencie, w całych epokach dziejów kryminałem dysząca, a na postęp oporna, polityka. Ileż to kart historyi wypełnia widok namiętności, która niby wstydzi się, gniewa, oburza i jęczy, gdy ją gwałtem na pewne tory wpychają, a rzeczywiście rada jest gwałtowi, pragnie, aby się spełnił, oblicza korzyści ze spełnienia — bierze w siebie myśl, aby wydać z siebie czyn, zrazu odpychany, wstrętny, drażniący. Podobny proces przebywa teraz istota myśląca i czująca, dusza narodowo-społeczna Anglii. Przywiązanie do swobód osobistych jest tam jeszcze tak silne, że Anglik przeciętny wzdryga się na myśl służby wojskowej przymusowej a powszechnej; ale myśl nie przestaje kołatać, a gdy się jej kołatanie sprzykrzy, zacznie szturmować i szturmem pozycyę ostatecznie weźmie. W myśli tej tkwi zdrowy instynkt narodu, brzmi przestroga śmierci, żarzy się mądrość, umiejąca z rzeczywistości wyłuszczać konieczność: cała przyszłość Anglii kryje się w tej myśli.

Świat nie składa się z powiewnych duchów, blasków i mgieł: na świecie rozpościera się, na wszystkie boki rozwala gruba, ciężka, ciężkością swą przerażająca materya; na świecie żyją materyalne, fizyczne ciała, w materyalną, fizyczną wyposażone siłę; duch w człowieku mocuje się wciąż i długo jeszcze mocować się będzie ze zwierzem. Jak bez ciała człowiek, a bez siły ciało, tak pomyśleć się nie da bezcielesne i bezsilne państwo; a im organiczniej społeczność ludzka siłę z ciałem swojem— z fizyczną i ekonomiczną siłą wszystkich zespoli, im rzetelniej moc wydobywaną z jednostek w swoją własną, swoistą potęgę zorganizuje, tem większą też posiądzie żywotność, tem dokładniej odgrodzi się i obwaruje od innych współżyjących jestestw zbiorowych, tem lepiej zabezpieczy zarówno duchowe, kulturalne, jak i polityczne swe istnienie. Organizacya porządku i siły w społeczeństwie czyni je państwem, daje mu tę niezbędną formę bytu, ten fizyologiczny postulat, który się państwem nazywa. Porządek wchodzi w rząd, siła w wojsko. Państwo jako ideał nawewnątrz jest zorganizowaną myślą wszystkich o wszystkich, nazewnątrz — potęgą organizacyi tej broniącą, zapewniającą sprawność jej żądzom, skuteczność jej celom. Potęga ta musi być stałą, nieprzerwaną, wieczystą jak samo życie, z którego wykwita, musi mieć tętno i oddech życia, musi z istoty zbiorowej, duchowej, myślami i uczuciami pokoleń żyjącej, wydzielać się tak, jak się wydziela siła z organizmu fizycznego. Na chwilę jedną potęga państwa ustać nie może— i nietylko ona sama, ale nawet jej urok, za nią działający.

Myśli te wcielają się w instynkt człowieka uspołecznionego. Jest on instynktem życia, na obronę życia wszczepianym. Walczą z nim przeróżne popędy, ścierają się rozumne, nawet szlachetne nałogi, jak nałóg wolności i swobody; walka trwać może długie lata i wieki całe: ostatecznie jednak to, co żyć chce, instynktowi temu uledz musi. Anglia toczy teraz w swem łonie psychologiczną walkę o armię. Do XVIII wieku wystarczała jej taka siła zorganizowana nazewnątrz, na jaką zdobyć się mógł systemat ochotników i milicyi. W XIX w. już nieraz jej polityka chromała, jej idee i żądze międzynarodowe wyginały się sofistyką od czynu, do którego brakło jej zewnętrznej, materyalnej siły. Na morzu tylko do dziś dnia systemat dobrowolności służby nie tamował rozwoju potęgi; na lądzie, zwłaszcza od wzmocnienia się militaryzmu powszechnego po pogromie Francyi, wielkie mocarstwo Brytańskie — którego król ma dziś większe niż Karol V lub Filip II prawo mówić o sobie, że w jego państwach słońce nie zachodzi — mocarstwo tak olbrzymie ze swoją siłą lądową wygląda nędznie, jak gospodarz na małym folwarku, któryby kupił sobie wielkiego konia i nie mógł go nawet do stajni swej wprowadzić. Dla swojego konia Anglia musi sobie w swem wewnętrznem gospodarstwie sama drzwi wyrąbać, bo jeśli tego nie uczyni, inni wyrąbią sobie z zewnątrz wejście do jej niezmierzonych posiadłości.

Nowy minister wojny, młody jeszcze i, jak widać z mów i robót, sprawny na urzędzie, Arnold Forster już w końcu przeszłego roku zaczął się krzątać około nowej organizacyi. Wspomniane tu już nowe urządzenie okręgów wojskowych, inspektoratów, sztabów, ćwiczeń — jego głównie jest dziełem. On również najsilniej zabiegał o to, aby wyznaczyć wielką komisyę z po za parlamentu do obmyślenia re-

form. Komisya ta w końcu maja zdała z czynności swoich i z przekonań sprawę: oświadczyła się za organizowaniem milicyi ze służby powszechnej, czyli za wytworzeniem armii na zasadach kontynentalnych, a zasada ta, raz przyjęta, musiałaby i dzisiejszą armię liniową z ochotniczej zamienić w przymusową. Jedni tylko zachowawcy powitali z zadowoleniem taką opinię; dla innych stała się ona czerwoną chustą, rozsrażającą gniew. Niechęć jest tak powszechną, że zwolennicy przekształceń tchórzą i w Izbie gmin tylko przygryzają usta, a rząd wypiera się solidarności z komisyą. Im przekonania polityczno-społeczne radykalniejsze, tem wstręt większy: łatwo to zrozumieć, a nie trzeba wcale wybaczać, bo nic tam do wybaczenia niema, gdzie jest wiara w podniosłe ideały, poczucie prawa za niezbywalne uważanego. Na posiedzeniu Izby niższej d. 2 czerwca minister wojny oświadczył, że rząd niema zamiaru korzystać z powyższej konkluzyi komisarzy, ale jednocześnie zapowiedział, że myślami sprawozdania nieraz jeszcze karmić będzie radców narodu. Przy cierpliwości kropla wydrąży skałę: Anglia musi się stać mocarstwem militarnem, jak inne, albo przestanie być Anglią.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po bitwie kinczauskiej (d. 26 maja) Japończycy opanowali Dalnyj, a zatokę Talienwańską oczyszczają z min i, posunąwszy się pod Port Artura o kilkanaście kilometrów, na linię zatoki Siao-siń-tau, prowadzą przygotowania do oblężenia twierdzy. Cały półwysep Liaotuński odcięty jest od lądu; pociągi drogi żelaznej z Hajczengu dochodzą tylko do Ta-szy-tsao, na wysokości Niu-czuangu (Inkau). Niewątpliwie linia wzgórzy na północnej granicy półwyspu Kuantuńskiego tak samo osłaniać będzie teraz od północy oblegających Port Artura, jak w d. 26 maja umożliwiła obrońcom jego samo usiłowanie oporu. Na północ od tej linii ok. Portu Artura (Pulandyan) dalej, wzdłuż kolei, toczą się ciągłe potyczki, jak np. d. 30 maja pod Wafandyanem i Wafangauem, ze strony rosyjskiej staczane głównie przez kozaków, których natarczywości nie może wytrzymać jazda japońska; gen. Kuropatkin d. 6 czerwca z Laojanu donosi, że kozacy „wywierają przerażające wrażenie.“

Południowa część widowni na stałym już lądzie, w Mandżuryi południowej, pomiędzy Liao-ho a Jalu, była widownią starć straży przednich, ale tylko w przełęczach górskich, jak pod Feng-szuj-linem, daleko na północy w promieniu Sama-tsy, zajmowanego przez Japończyków. Widocznie gen. Kuroki jeszcze nie czuje się na siłach do ruszenia na Liao-jan (-jang), to zaś najpewniej wskutek powolności wyładowywania korpusu gen. Nodzu (jakoby druga armia) w Takuszanie i dalej na wschód a bliżej Jalu. Dotychczas nic słychać nawet o potyczkach przedczołowych w przełęczy motieńskiej, na wielkim trakcie z Feng-huang-czengu.

*Daily Express* doniósł o wysłaniu z Laojanu — przyczem rozumieć należy wogóle punkta na linii rozstawienia wojsk od Hajczengu do Mukdenu — dwu dywizyj pod generałem Stackelbergiem na odsiecz Portowi Artura. W Tokio nietylko w to wierzą, ale jeszcze liczbę dywizyj nieprawdopodobnie do trzech podnoszą. Samo wysłanie znacznych sił było już d. 20 z. m. możliwem, a nawet nakazanem; mordercza bitwa pod Kinczau, w której Japończycy według własnych swoich, niczego nieukrywających telegramów utracili 31 oficerów i 730 żołn. zabitych, 100 of. i 3,460 żołn. ranionych — razem 4,321, mogła była zakończyć się ich klęską w razie nadejścia z północy chociaż kilkunastu tysięcy Rosyan. Przypuszczając wysłanie takiej siły w przeszłym tygodniu, w samym końcu maja, prawdopodobieństwo dojścia jej na półwysep Kuantuński, a nawet na północ od Portu Adamsa, oceniać potrzeba według tego: 1) czy Japończycy w Siu-janie zbili się w większą masę, a od Takuszanu pobrzeżem wschodniem półwyspu docierają do Pu-tsu-uo, z rozpostarciem się jak największem ku zachodowi, gdzie właśnie musi mieć swą linię pochodu gen. Stackelberg; i 2) czy linię obwarowań rosyjskich z d. 26 maja należycie zużytkowali, wzmocnili i obsadzili; w tej bowiem miejscowości, przy odwróconych tylko rolach, musiałaby się powtórzyć teraz krwawa rozprawa pod Kinczau, gdyby gen. Stackelbergowi udało się posunąć aż tak daleko na południe. W każdym razie wielkie tylko siły, jakie 30,000 ludzi, mogłyby odsunąć groźne niebezpieczeństwo podobnego pochodu.

Dowódcą wszystkich wojsk japońskich na widowni wojny mianowano Jamagate, znanego z wojny 1894—5 r.; ma on mieć i władzę wicekrólewską. Armią działającą na półwyspie Laotuńskim dowodzi naczelnie Oku; Nogi z bitwy kinczau skiej jest tylko dywizyjnym.

Japonia zawiadomiła podobno o blokadzie wybrzeży liaotuńskich. Według traktatu paryskiego 1856 r. blokada musi być rzeczywistą. Rząd w Tokio wezwał Chiny do obsadzenia terytoryów, przez wojska japońskie zajętych, własną swą chińską policyą. Poseł Lessar w Pekinie widzi w tem pogwałcenie neutralności i grozi skutkami.

Namiestnik Aleksiejew dla zabezpieczenia kolei mandżurskich wydał obwieszczenie groźące ludności chińskiej niszczeniem wsi w razie uszkodzenia drogi lub współdziałania z Japończykami.

Zatarg Francyi z Watykanem— jak przewidywano — łagodnieje. Nota półurzędowa zawiadamia o polepszeniu się stosunków—w tydzień niespełna po pogromie d. 27 maja w Izbie, a w 10 dni po wyjeździe p. Nisarda. Zwycięża wpływ Delcasségo i umiarkowanych republikanów; zwycięża i wytrzymałość Watykanu, który Lorenzellemu, nie dał nawet urlopu.

Sprawa Dreyfusa, wszczęta obecnie nanowo, zyskała pogłębienie materyalne przez wykrycie przestępstw niejakiego Dautriche, kapitana, który kradł pieniądze i fałszował księgi ministeryum wojny, aby opłacać fałszywych świadków — i samego siebie. Proces rewizyjny, nowy, przypadnie prawdopodobnie na jesień.

Socyalista Vaillant zaproponował Izbie znaczne obcięcie armii, rozcieńczenie wojskowości. Izba odrzuciła jego wniosek 506 głosami przeciwko 66.

Delegacye austryacko-węgierskie ukończyły swe prace: uchwaliły budżet wojska i floty, wogóle 391 mil. koron wynoszące. Niebezpieczne położenie monarchii pomiędzy Prusami i Rosyą, Włochami i Bałkanią, wyjaśnione na poufnych posiedzeniach i w cztery oczy z zaufańszymi i poważniejszymi posłami, srogiego wilka zamieniły w baranka: przy ostatecznem głosowaniu byli przeciwnicy, ale nie było oporu. Nadzwyczajne miliony pójdą głównie na artyleryę i małe statki wojenne.

W Belgii wybory połowiczne z d. 29 z. m. wykazały powodzenie liberalnych; 5 mandatów udało im się wydrzeć socyalistom, 4 katolikom. W samej Izbie mieć będą 43 posłów, socyaliści 3, katolicy 91. W senacie również wzmógł się żywioł liberalny.

Bułgarya i Serbia ogłosiły już treść swego traktatu jawnego: handel, policya, paszporty, wzajemność, kurs pieniędzy obustronnie przymusowy. Nie pokazuje się kart w grze; traktat polityczny każdy trzyma w zanadrzu. W Sofii żądają 30 mil. fr. na działa.

Arne Garborg.

## W Stowarzyszeniu młodzieży.

(Dokończenie).

Po chwili mężczyzna, jakiś nieco siwawy i chudy, lecz przyzwoity i szanowny, widocznie jeden z tych, którzy tu mieli głos, ukazał się na mównicy i po skończonej zwrotce oświadczył, że obecnie, w tym dniu uroczystym, użyjemy nietylko duchowych darów Bożych, choć te naturalnie są pierwsze i najważniejsze, lecz i doczesnych, tych, których udzielił nam Pan dla pożywienia i utrzymania ciała. I łagodny ten staruszek złożył ręce, odmawiając modlitwę. Prosił więc Boga, najpierw aby napełnił dusze nasze chlebem żywota a potem, aby pobłogosławił te oto dary ziemskie, abyśmy z nich mogli mieć prawdziwą korzyść i używali ich w imię Boże.

— A teraz proszę was, drodzy, młodzi przyjaciele!

Zbite dwa szeregi poczęły się rozluźniać i rozstawiać naokoło dużego stołu. Każdy brał kromkę chleba z mieszaniną, nalewał sobie mleka do szklanki i usuwał się, robiąc miejsce innym. Powstał ruch, w tej chwili najwięcej było tu życia.

Członkiem nie byłem, ale pozwoliłem sobie na chleb i mleko, bo wygłodniałem. I smakowało mi. Mięso było czyściutkie, bez żył, a mleko wprost znakomite.

Uroczysta cisza zaległa powoli i znów otoczyliśmy stół, biorąc po raz drugi. Dumałem nad tem, co to właściwie znaczy: jeść w imię Boże. Ksiądz Hermansen od czasu do czasu zachęcał do chrześciańskiej zabawy.

Skończywszy jeść, spojrzałem na zegarek. Wielki Boże! jeszcze nie było szóstej. Zrodziła się we mnie szalona myśl: a gdyby też skończyli wszystko za godzinę? najgłówniejsze przynajmniej. Do teatru zaszedłbym w dziesięć, no, gdybym wytężył wszystkie siły, to nawet i w pięć minut. Boże mój, żeby to się chcieli pospieszyć!

— W każdym razie mam jeszcze czas namyślić się, co robić.

Znowu zaunęliśmy się w dwa szeregi i odmówiono modlitwę po jedzeniu. Menuet Nordraaka znowu począł mi brzmieć w uszach, falując, wibrując. Widziałem w duchu Maryę Stuart białą i piękną; słoneczny blask siały jej podniesione oczy, ciemność zalegała, gdy je znów spuściła. A to, spotkanie z Dawidem Rizziol — ach, jakaż ona silna w swej bezbronności! Chyba gorsi od szatanów ci wstrętni, czarni purytanie i protestanci, którzy nie znają innej muzyki nad psalmy i innych miejsc nad groby!..

Cieszmy się, cieszmy się,
Cieszmy się w Panu!...

śpiewał chór wesoło. Nie mogłem pojąć, jak ktoś może powtarzać tyle razy jedno i to samo; lepiejby się to podobało, gdyby było krótsze. W każdym razie skończyli wreszcie; potem dali jakiś znak.

Zakończenie!? — pragnąłem, nie śmiąc wierzyć.

Wtedy ksiądz Hermansen zjawił się na mównicy i oświadczył, że wolno głos zabrać.

Straciłem nadzieję... rozumie się, że uroczystość będzie trwała dalej.

Młodzi jednak nie zdawali się wiedzieć, co robić z tem wolnem słowem. Nie ulegało wątpliwości, że ani *ten*, ani *ów* nie zechce mówić, a już najmniej *tamten*.

Zapanowała przytłaczająca cisza. Znowu zapewniał ksiądz Hermansen, że można głos zabrać. Ale nikt go nie zabierał.

Zaczęli więc śpiewać.

Cesarz Wilhelm d. 3 czerwca pobłogosławił nowe posiłki dla Afryki. Nowym dowódcą jest gen. Trotha.

W Armenii były w maju mordy i naganki.

Na Sumatrze rozżarza się powstanie. Holendrzy pod Tampingiem wyrznęli około 180, jak sami się chwalą, krajowców.

# Z Dalekiego Wschodu.

## KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Wystawny obiad korejski jest bardzo podobny do chińskiego, ale mniej urozmaicony i gorzej podany. W zmienionym jego porządku czuć Japonię, gdyż zaczyna się nie od słodyczy, lecz od ostrych i gorzkich marynat, a kończy się deserem z owoców i orzechów. W czasie obiadu piją Korejczycy, na podobieństwo Chińczyków i Japończyków, wódkę ryżową własnego wyrobu, „suli," grzaną lub zimną.

W miastach w użyciu jest piwo, dostarczane przeważnie z Japonii, oraz wina i wódki zbożowe, japońskie i europejskie. Herbaty Korejczycy nie lubią, piją ją rzadko i mało. Cukru nie używają, ale lubią bardzo miód w plastrach oraz sycony lub w rozmaitych przetworach, ciastkach z orzechami i pszennej mąki, z pieczonego ryżu, z pestek dyni, z kasztanów itd.

Całe pół dnia przesiedzieliśmy w Sokiö, przyglądając się przez otwarte drzwi kotłującej po górach szarudze. Ponieważ jednak końca jej nie można było rychło się spodziewać, skorzystałem z chwilowej przerwy w ulewie i dałem znak do wymarszu. Ma-phu i ton-sa z niechętnem mamrotaniem objuczyli konie, i ruszyliśmy w górę, we mgły po oślizgłych stoczach. Nie bez wysiłków wdrapaliśmy się na niewysoką, ale stromą przełęcz. Nie była to główna, lecz jedna z fałd poprzecznych. Po za nią spuściliśmy się do urwistej, nadzwyczaj malowniczej doliny, po której toczyła się piękna, burzliwa, jak wrzątek, rzeczka Kinnga. Dookoła wznosiły się góry wysokie, opoczyste, dzikie, na szczytach nagie, na pochyłościach porosłe trawą i krzewami. Dolinę przecinały w wielu miejscach, w poprzek, olbrzymie grzędy skalnych złomów, na które musieliśmy się wdzierać i spuszczać z nich, gdyż nie było sposobu ominąć. Nasza wązka ścieżyna wiła się wciąż prawie gzemsem wysokiego urwiska, opadającego wprost w nurty potoku. Ponieważ była to droga uboczna, nieuczęszczana, zdziwiłem się cokolwiek, spotkawszy na jednym z zakrętów dwóch Japończyków w strojach narodowych i pod parasolami. Wydali mi się zmieszani mem japońskiem „o-ha-jo!", wypytywali się o coś pilnie mego tłomacza i kazali mu powiedzieć mi, że są zwykłymi podróżnikami, architektami z Genzanu, dokąd wracają z Seulu po skończeniu tam swych budowli. Bardzo pięknie! Ale jeden z nich wyglądał stanowczo na oficera i miał na nogach długie, europejskie buty, których nie używają nigdy zwykli śmiertelnicy japońscy.

Deszcz i mgła toczyły się po wąwozie, kołysane kapryśną wichurą. Konie ostrożnie stąpały po mokrych głazach, podbierając pod siebie nogi, jak w tańcu.

Dolina stawała się coraz węższą i dzikszą. Nagle wyjście jej przed nami zamknął wysoki, prostopadły mur ciemnego wiszaru. W pobliżu niego opuściliśmy się w łożysko rzeczułki i po wątłych, wązniuchnych, chruścianych mostkach dostaliśmy się na lewy brzeg. Mostki gięły się pod naszymi końmi i drżały od uderzeń prądu w ich żerdziane nogi. Widoczne było, że każda powódź niszczyła je i że wciąż wznoszono je znowu *). Zresztą tu o innych mostach, prócz takich lub wiszących wysoko od skały do skały i mowy być nie mogło, gdyż rzeczka Kinnga, nieodrodna siostrzyca innych rzek korejskich, wcale nie miała nadbrzeży, spływała po łożysku młodem, nie nieprzetartem, jak po wielkich schodach i wzbierała łatwo i wysoko od byle nawałnicy.

Wiosek również nie widziałem nigdzie, chociaż każdy szmatek zdatnej do uprawy gleby był starannie zaorany, obsiany, albo świeżo zżęty. Pola ryżowe wprawdzie już znikły, lecz widziałem czumidzę żółtą i czerwoną, gaolian, sałatę, rzodkiew, grochy i... pomimo znacznego nad poziom wzniesienia — tytoń. Dostrzegłem pola i w bocznych dolinach, wśród jarów i zagajników, wdzierające się na same nieraz wierzchołki. Spadzistość niektórych była tak wielką, że nawet ręczna uprawa wydawała mi się tam szczytem mozołu i pracowitości; spotykałem jednak następnie Korejczyków, orzących w parę wołów na takich ukosach, że kopyta górnego zwierzęcia znajdowały się nad grzbietem dolnego. Ale to było w dolinach zachodnich, gęsto zaludnionych i ciepłych, gdzie ziemia ma wysoką wartość. Tu zaś pola przedstawiały się, jak skrawki, dość luźno wkropione w obszerne zarośla i pustocie. Mówiono mi, że to korejscy chrześcianie w czasach prześladowań, chroniąc się w niedostępnych szczelinach, zanieśli rolnictwo tak wysoko. Przez powolny, wiekowy dobór stworzyli nowe odmiany górskiego ryżu, kukurydzy, grochu, ogrodowizn oraz rozpowszechnili i udoskonalili uprawę zbóż północnych, jęczmienia, owsa, pszenicy...

I stało się prawdą niewątpliwą, że nietylko ogólna, pionowa granica rolnictwa, lecz i granica dojrzewania ryżu posunęła się przez dotkliwe cierpienia ludu o wiele wyżej nad poziom morza na surowych opokach Korei, niż w błogosławionej Japonii. Ten sam powolny Korejczyk, który nie umie zwyciężyć własnego urzędnika, dał sobie radę z wiatrami, mrozami i śniegami ojczystych szczytów.

Klimat Korei wcale nie odpowiada położeniu geograficznemu. Jej północna granica leży na szerokości Rzymu, a ma klimat południowej Rosyi; w południowych nawet prowincyach, odpowiadających szerokością Algerowi, śniegi spadają głębokie i mrozy dochodzą —15° C.

Wszystko się złożyło, aby Koreę nawet pod względem pogody pozbawić samoistności. Te same prądy z północy na południe, które płynąc wśród ludów z Chin i Mandżuryi i ścierając się gwałtownie z prądami Japonii, pozbawiły Korejczyków odrębności w charakterze, w kulturze i w urządzeniach, te same prądy panują w powietrzu i sprawiają, że ten wązki i daleko w morze wysunięty półwysep ma w gruncie rzeczy *klimat lądowy* — zimę chińską a lato japońskie; ciche, ciepłe doliny i niesłychanie zimne, wietrzne, cztery miesiące w roku uśnieżone wyniosłości; ciepłe brzegi zachodnie, rok rocznie obrzeżone w zimie grubymi lodami i zimniejsze wschodnie, gdzie zatoki wcale nie zamarzają.

*) Most po korejsku „tari"; most kamienny — „tortari"; kamień — „tori." Ciekawym przyczynkiem do początków mostów w Korei jest okoliczność, iż wyraz „tortari" znaczy jednocześnie — staczać kamienie do rzeki, aby ją przejść w bród. Takich brodów z szeregu wielkich głazów i obecnie jest bardzo dużo w Korei.

---

Prześpiewali trzy zwrotki psalmu i nowa cisza.

Uporczywa, beznadziejna cisza. Chłopaki zawzięły się w swej bezmyślności i wystrzegając się wszelkich pozorów, zaciskały tak szczelnie usta, jak tylko zdołały, aby ich niepodejrzewano o chęć przemawiania. Byłem jak na torturach. Byle tylko wytrzymali! Nic już nie będzie i skończy się.

A oto widzę mojego żółtego szewca, podchodzącego do księdza i szeptającego z nim coś. Czego on może chcieć?

Ksiądz słuchał z brwiami podniesionemi, nakoniec zdawało się, że uległ, chociaż niechętnie i skinął głową. Widocznie chodziło o coś, ale o co?

Niebawem zaspokoiłem swoją ciekawość. Mój szewc wszedł na mównicę. Więc mój szewc będzie przemawiał! Przysiągłem sobie wtedy, że nigdy już nie dostanie moich butów do łatania.

Stał chwilę z oczyma spuszczonemi. Myślę, że modlił się o łaskę znalezienia słów odpowiednich. Ach, jak też niemądrze wyglądał. — Et, będę mu dawał buty łatać, byle się sprawił krótko — pomyślałem. — A dlaczegóż nie miałby się krótko sprawić? Taka szewcka dusza nie będzie chyba miała dużo do powiedzenia.

Nie, on rzeczywiście nie miał nic wielkiego do powiedzenia. Hm... Ale skoro nikt z tych, którzy mają większe dane do przemawiania, niż on... skoro nikt z tych nie zabrał głosu, pozwoli sobie w prostocie swojej przedstawić... tak, właściwie chciałby tylko coś opowiedzieć. Jest to niby tajemnica... może powiedzieć, ale nie wstydzi się, bo chociaż to się może wydawać mędrcom małe i głupie, zdarzyć się może, iż któryś z dobrych przyjaciół, tu zebranych znajdzie się w podobnej potrzebie, a w takim razie to, co on opowie, będzie mu pociechą albo... tak, śmiało powiedzieć może, pociechą. Hm... Tak, bo to nic innego nie było tylko pokusa szatańska. Nic innego. Hm... Cały przeszły tydzień, a najbardziej w czwartek i piątek, może być, że najgorzej było w piątek... tak, dyabeł prześladował go kuszeniem, że całe to, z tem stowarzyszeniem młodzieży i chórem, tak, chórem, to w gruncie rzeczy światowość, która odwodzi od Pana Boga, zamiast pociągać ku Niemu. Gdyż zajmujemy się tu nietylko tem, co jest konieczne, lecz troszczymy się także o wiele innych rzeczy: trzymamy dzienniki, drukujące wiadomości rozmaitego rodzaju, mamy książki w bibliotece, które może wymieniają imię boskie, a może i nie; były też i odczyty o tem lub owem, opisy podróży itp., śpiewamy pieśni świeckie, mogące zachęcić do umiłowania świata i tych rzeczy, które istnieją na świecie, tak, że łaska Pańska nie ma do nas przystępu. Hm... Tak. Poprostu dręczyły go te myśli. Tak go kusiło, że już, już miał się wypisać z Towarzystwa i chóru. Ale kiedy było najgorzej, zdaje się w piątek właśnie, zrobił to, co zwykł był robić w podobnych wypadkach. Poszedł do swojej sypialni i począł się modlić, serdecznie się modlił, aby Pan Bóg oddalił od niego tę pokusę, aby wiedział, co ma robić, a czego nie robić w tej sprawie. I wspomógł go Pan; szewca odeszła pokusa i w sobotę, tak, wczoraj było mu dużo lepiej, a dziś jest już zupełnie dobrze. Dziś zabrał się do swojej czynności w Stowarzyszeniu ze spokojem w sercu i wdzięcznością dla Pana, tak, z serdeczną wdzięcznością dla Pana, który łaską swoją otworzył mu oczy w tej sprawie... i to właśnie chciał przedstawić... hm... myślał, że to mogłoby.. tak, że będzie uznane przez tych... tu, gdzie jest tylu ludzi słowa, tak, ludzi słowa... chciał powiedzieć...

Szewc uwikłał się w zwroty i argumenty, ale w końcu znalazł ucieczkę w modlitwie, która rzeczywiście była krótka. Gdyż znalazły się tylko dwie rzeczy, o które pro-

Pochodzi to stąd, że olbrzymia skała morska, jaką właściwie jest Korea, stoi na wiatrowisku, na międzydrożu, po którem wciąż przeciągają ludy i wichry. W zimie, gdy ciśnienie barometryczne Azyi dosięga swego szczytu we Wschodniej Syberyi, następnie w Mongolii i Mandżuryi, spływa stamtąd ku Chinom, Korei i Japonii zimny i suchy wiatr półn.-zachodni, osuszający powietrze i potęgujący obniżenie temperatury. W lecie przeciwnie, powietrze nagrzane w obszernych pustyniach Azyi środkowej unosi się do góry i jak pompa ciągnie ku sobie wilgotne i chłodne wiatry z oceanów. Nad Koreą w tej porze roku przepływa wiatr południowy i południowo-zachodni, którego temperatura może nawet wzrosła w przelocie nad gorącym archipelagiem Japońskim, ale którego wilgoć wcale od tego się nie zmniejszyła. Zamienia on cały kraj w nieznośną łaźnię, suto zlewaną deszczami od maja do września. W tym czasie ilość opadów atmosferycznych wynosi w Genzanie 910 m. m., w Fuzanie — 859, w Seulu — 667, w Czemulpo — 562 m. m., podczas gdy za cały rok spada: w Genzanie 1.231, w Fuzanie 1.355, w Seulu 933, w Czemulpo 885 m. m. Na lato więc przypada prawie 70% opadów rocznych, stosunek zupełnie odwrotny, niż w Europie. Deszcze bywają nietyle częste, co ulewne. Weber opisuje nawałnicę w Seulu, która trwała dwie noce i dwa dni i dała w deszczomierzu 266 m. m. *). Nic dziwnego, że po takich ulewach głębokie, kamienne łożyska rzek korejskich wypełniają się niezwłocznie po brzegi, że w kilka godzin poziom wody wznosi się na kilkanaście stóp, że prąd wody zrywa mosty i groble.

Sierpień jest w Korei naogół najgorętszym miesiącem, a styczeń — najzimniejszym. Do osobliwości jej zaliczyć należy, że choć zimę ma suchą, lądową, wiosnę mimo to jest morską, tj. zimniejszą i przewleklejszą od jesieni; na wschodniej zaś stoczystości panuje łagodniejsza zima i chłodniejsze lato, niż na zachodniej. Daje się to objaśnić charakterem przyległych tym brzegom mórz — otwartego i głębokiego na wschodzie a płytkiego i zamkniętego na zachodzie. Z tego też powodu zachodnie w zimie zamarza u miałkich brzegów, a wschodnie — nigdy. Zresztą jedynie porty południowe są zupełnie wolne od kry i kruszu lodowego, choć wieje śniegowe hasają wszędzie na morzu, nieraz do połowy wiosny.

*) „Opisanie Korei," część I, str. 175.

Ponieważ większość roślin południowych łatwiej godzi się z cokolwiek ostrzejszą zimą, niż z chłodniejszem latem, stąd roślinność w zachodniej części półwyspu jest bogatszą, dojrzewają tam rzadsze i delikatniejsze owoce i ziarna.

Korea południowa ma klimat bardziej zbliżony do morskiego, niż środkowa i północna. W Fuzanie skoki temperatury są o wiele mniejsze, wilgoć i temperatura roku jednostajniejsze. Termometr w tym czasie przechodzi zaledwie 33,2° C. od najniższej temperatury, niema miesiąca z przeciętną poniżej zera, i styczeń daje średnią +5,2° C. W Czemulpo różnica między najniższą i najwyższą temperaturą wynosi już 48,6° C., a w Genzanie — 48,3° C.

| | *Genzan* | *Fuzan* | *Seul* | *Czemulpo* |
|---|---|---|---|---|
| | [illegible] | | | |
| Przecięt. roczna | +11,7 | +15,2 | +11,5 | +11,6 |
| Przec. lata (czerw., lip., sier., wrzes.) | +22,4 | +23,7 | +23,1 | +22,5 |
| Przec. zimy (grud., stycz., luty, mar.) | + 0,8 | + 6,9 | — 0,7 | + 0,3 |
| Przecięt. najniższa | —13,1 | — 4,3 | — 15,9 | —12,9 |
| „ najwyższa | +34,6 | +31,6 | +35,2 | +33,8 |

Zima w Korei jest stosunkowo cicha i jasna. jej to pewnie zawdzięcza ten kraj nazwę „Kraju Cichego Poranku" (Dzosion). Dzięki swej wielkiej górzystości posiada on wprawdzie niemało głębokich, zawsze cichych dolin, ale na przesmykach i wyniosłościach nieomal wiecznie szaleje wichura *).

(C. d. n.)

*W. Sieroszewski.*

# ŻYCIE SPOŁECZNE.

## O NASZYM NASTROJU.

Powracającego po dłuższej nieobecności do Warszawy niemile uderza jękliwy ton poglądów na kwestye, mające pewne, szersze znaczenie. Każdy, z kim się rozpocznie rozmowę o czemśkolwiek ogół dotyczącem, poczyna pogardliwie wzruszać ramionami i powtarzać w kółko: u nas to już tak jest, gdzieindziej wszystko się przyjąć może, u nas nie. Zapytaj kupca, czemu nie wyjdzie po za staroświecką rutynę, odpowie: czy to się u nas opłaci; rzemieślnik w takiż sam sposób bronić będzie swojej maniery; rzadko kto wystąpi z czemś nowem, wszyscy biadają: u nas to niemożebne. Przeciętny „inteligent" z sceptycznem skrzywieniem warg rozprawiać będzie o tem, jak to u nas nikt nie pojmuje żywszego odruchu nowej myśli i jednocześnie rozwodzić się nad wspaniałością innych społeczeństw. Gdzie się obrócić, ta sama piosenka. Weszła ona w zwyczaj; byle kto bezmyślnie ją powtarza, niezdolny pojąć, że właśnie on sam jest przyczyną tej jałowości, na którą utyskuje.

*) Dla czytelników, ciekawych [illegible]szczegółów, przytaczam tablicę przeciętnych temperatur, zapożyczonych z „Opisania Korei," wyd. min[illegible] Cz. I, str. 179.

| | | *Genzan:* | *[illegible]* | *Seul:* | *Czemulpo:* | *Uwagi:* |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Szerokość geograficzna | | 39° 10' | 35° 6' | 37° 25' | 37° 29 | |
| Długość geograficzna | | 127° 25' | 129° 3' | 126° 7' | 126° 37' | |
| po korej. | | | | | | |
| (Czön-mori) | Styczeń | — 3,2 | + 4,1 | — 5,6 | [illegible] | |
| (I-wori) | Luty | — 0,6 | + 5,8 | — 1,6 | [illegible] | |
| (Sam-wori) | Marzec | + 4,6 | + 9,3 | + 4,0 | + 4,9 | Według obserwacyi za lata od 1888 po 1890 oprócz października 1889 roku (Wojeikoff: „Meteorol. Zeitschrift." Berlin, 1887). Tab. I. |
| (Sa-uori) | Kwiecień | +10,5 | +12,9 | +11,2 | +10,2 | |
| (O-wori) | Maj | +16,5 | +17,1 | +17,3 | +15,8 | |
| (No-wori) | Czerwiec | +20,4 | +20,6 | +21,1 | +19,8 | |
| (Czi-wori | Lipiec | +23,6 | +24,5 | +25,0 | +24,1 | |
| (Paru-ori) | Sierpień | +25,4 | +26,6 | +26,4 | +25,9 | |
| (Ku-wori) | Wrzesień | +20,0 | +23,1 | +19,8 | +20,3 | |
| (Si-wari) | Październik | +13,7 | +17,2 | +13,0 | +14,1 | |
| (Ton-kitari) | Listopad | + 7,7 | +12,3 | + 6,2 | + 7,6 | |
| (Sotari) | Grudzień | + 2,3 | + 8,5 | + 0,6 | + 1,9 | |
| Przeciętna roczna | | +10,5 | +11,8 | — | + 9,4 | Według Gotsche'go. Tab. III. |
| Najniższa | | —10,0 (0 Stycz.) | — 6,2 (26 Grud.) | — | —16,2 (15 Stycz.) | |
| Najwyższa | | +31,7 (13 Lipca) | +31,2 (10 Sierp.) | — | +31,7 (11 Sierp.) | |

sił, a i te były już wymienione, a mianowicie: abyśmy doszli do poznania, jak bardzo jesteśmy grzeszni, i aby Pan bronił młodych przed wielkiem miastem z jego pokusami i niebezpieczeństwami. Poczem opuścił mównicę i dał znak chórowi, aby zaśpiewał: Jezu, jak słodko przebywać z tobą... Jakoś to niedobrze brzmiało teraz — przynajmniej mnie się nie podobało. Widocznie śpiewacy byli pomęczeni.

Deszcz ustał. Słońce poczęło przedzierać się przez szyby wązkimi, długimi promieniami, które rozproszyły żółtawy półcień. Teraz musi być cudnie na dworze — przemknęło mi przez głowę. Która też godzina? Nie więcej, jak pół do siódmej. Może przecież skończą?

Ksiądz znów się ukazał i zapytał, czy kto ma jeszcze co do powiedzenia, stałem, jak na rozpalonych węglach. Proszę! — zachęcał uprzejmie i słodko — Proszę się ośmielić! Czyżby nikt ze zgromadzonych nie miał nam nic do powiedzenia?.. spostrzeżenie jakiejś, naukę... lub cośkolwiek innego? coś o darach bożych i czynach doczesnych świata tego.

Życzyłem mu z całego serca, aby go licho wzięło... ale chwała Bogu! nikt z całego zgromadzenia nie miał nic do powiedzenia.

Wtedy on zabrał głos.

Sądził, że opowiadanie o czemś bardziej światowem będzie teraz odpowiednie, więc zaczął mówić o stosunkach w Londynie. Jest to duże miasto, w którem pokusy i niebezpieczeństwa są też o wiele większe, niż w Chrystyanii. Ale tam przy pomocy boskiej praca nad zbawieniem i poprawą przerasta znacznie naszą w tym kierunku. Wszędzie gdzie szatan ma swoje świątynie, ma też i Pan Bóg swoje kaplice, a nawet słowo boże głosi się tam na niewiarogodnych miejscach i w niewiarogodny sposób...

Stałem z zegarkiem w ręku, liczyłem minuty. Żeby tylko coprędzej doszedł do końcowej modlitwy, zostałby tylko jeszcze psalm — miałem zaledwie dziesięć minut.

Ale ksiądz Hermansen zakończył bez modlitwy. To znaczyło, że modlitwa będzie oddzielnie.

Już, już miałem wyrazić w duchu życzenie, aby była krótką, gdy okazało się, że emisaryusz Bölle będzie jeszcze przemawiał.

Emisaryusz Bolle, było to sobie barczyste, silne stworzenie z ciemną brodą, które posiadało podobno talent krasomówczy — niestety!

— Ponieważ pora już i tak spóźniona— zaczął słodkim głosem — odmówimy sobie na końcu wspólną, krótką modlitwę.

Łatwo to powiedzieć — myślałem rozzłoszczony — a ja mam tylko dziesięć minut... może dwanaście... najwyżej trzynaście...

Nigdy w świecie nie skończy w trzynaście minut. Co zrobić? Możeby sobie wyjść poprostu? Wysunąć się chyłkiem?

Spojrzałem na długą salę i porzuciłem tę myśl. Rozpaczliwa pustka na środku... każde oko mnie zobaczy.

Nie było co myśleć o tem, abym wyszedł sam jeden.

Badawczo rozejrzałem się po sąsiadach: może który z nich nie należy do dzieci bożych? Tyrolczyk! A chociaż był dziecięciem bożem, miał przecież zdrowy sąd, musiał mieć dość tego wszystkiego! Ale obaj moi towarzysze stali z głowami pochylonemi, zatopieni w głębokiej zadumie.

A jednak muszę spróbować z Tyrolczykiem — od czasu do czasu rzucał on spojrzenia, które pozwalały się domyślać, że nie był bardzo zbudowany.

Chwila ostateczna się zbliżała, trąciłem go łokciem: — Idziemy?

Spojrzał na mnie zgorszony i nic nie odpowiedział. Około ust dojrzałem fałd, któ-

Nigdzie chyba nie jest tak rozpowszechnionym dziwny kontrast dwu wierzeń: z jednej strony nacyonalistyczne uwielbienie dla swojskości, z drugiej pogarda dla swojskiej także zdolności życiowej. Fakt ten pojąć można tylko wtedy, jeżeli zwrócimy uwagę na zatrważającą anemię myśli. O teoretycznej stronie tego zagadnienia pisałem w zeszłym numerze, dzisiaj pragnę zwrócić uwagę na niektóre bardziej „praktyczne“ i widoczne jej konsekwencye.

Ubóstwo myśli rodzi manierę. Dlatego tak monotonnie, jednostajnie płynie nasze życie społeczne. Rzadko kiedy pojawi się jakiś fakt, wyróżniający się nieco od powszechnie znanych. Jeżeli zaś zrodzi się pewna myśl nowa i natrafi na dobrą chwilę, to wzbudza wielki zapał. W zachwycie posuwamy się aż do podniesienia drobnej nieraz nowości do znaczenia wspaniałego czynu społecznego, do godności wiekopomnej zasługi itd. I co się dzieje? Ów projekt poczyna wchodzić w życie. Ludzie z początku niezwykle się garną do niego. Po pewnym czasie gazety zaprzestają zwolna mówić o nim. I to, co się tak świetnie zapowiadało, pada, nie dlatego, aby przy wprowadzeniu w życie okazało się złem lub bezwartościowem, lecz poprostu dlatego, że ludzie zapomnieli już o projekcie. Kiedyś znów, kiedyś, dziennikarz, biadając nad zastojem i apatyą ogółu, przytoczy ową zagasłą sprawę, jako ilustracyę swego twierdzenia i po tej mowie pogrzebowej przechodzi się nad nią do porządku dziennego.

W tem wszystkiem daje się zauważyć jeden rys stały: zbyt powierzchowne zajęcie się każdą sprawą społeczną, wynikające ze skłonności do sensacyi i z chwilowej ciekawości. Ludzie muszą przedewszystkiem zadowolić potrzebę zajęcia się czemś; jeden coś rozpoczął—dalej więc za nim inni baranim pędem. A barani pęd nigdy nikomu najmniejszej nie przyniósł korzyści.

Pożądanie nowości powinno wypływać nie z uganiania się za czemś „interesującem,“ lecz z istotnego zrozumienia własnych potrzeb, ze zbadania całokształtu wszelkich przejawów życia i samoistnego pojęcia jego dążeń, bez zapożyczania się u innych; powinno ono oprzeć się na podstawie interesów ogólnych, pojętych jak najszerzej i jak najgłębiej.

Brak usiłowań w celu pojęcia istoty zagadnienia rodzi stałe i powszechne u nas niedociągnięcie struny. Wszędzie się widzi opuszczenie rąk po pierwszej, niezupełnie udanej próbie i powrót do dawnej maniery. Po krótkiej chwili zapału następują długie godziny pognębienia i apatyi. Brak wytrwania, brak pewności, brak wiary we własne siły — to rzeczy codzienne, niestety, bardzo codzienne. I dlatego bezmyślne utyskiwania, plucie ze strony tych, którzy zasługują najwięcej, aby na nich pluto, tak odrażające wywiera wrażenie. Tu najjaskrawiej występuje bezmyślność pewnych warstw, które z uśmiechem podziwu, pozbawionego wszelkiej głębi, spoglądają na policzkujących je i nie czują oburzenia i wstydu; oburzenia, że tak nizko upadły, że byle kto znieważa je, a one nic mu ododpowiedzieć nie mogą, bo w bezmyślnem ujadaniu jest niejasne uświadomienie istotnych wad.

Krytyka paląca, piekąca aż do krwi, zawsze jest orężem niezbędnym, szczególnie zaś wielkiej wagi dla nas. Co jednak ma z nią wspólnego owo bezmyślne wzruszanie ramionami i plucie, pozbawione wszelkiej głębszej treści? I w krytyce jesteśmy zmanierowani, co jest tylko ścisłą konsekwencyą ogólnego stanu. Tam, gdzie anemia mózgu paczy każde żywsze poruszenie, tam i krytyki istotnej być nie może, bo przecież krytyka — to największy objaw pracy myśli.

Blizką temu „niedociągnięciu struny“ jest chwiejność. Większość nas sprawia duchowe wrażenie tabetyka, niepewnego swych nóg, zmuszonego do ciągłego podpierania się laską lub kulą; osłabione pulsowanie krwi w naszym zbiorowym organizmie sprowadza brak pewności chodu, brak wytrwałości oddechu.

Nie chcę być posądzonym o krucze biadanie nad naszą dolą. Tak zwany pesymizm stał się u nas strawą tanią; zwykliśmy nasze niedołęztwo i nieudolność do śmiałego patrzenia w życie osłaniać mało subtelną i gruboskórną powłoką czarnego na świat patrzenia. Patrzenie na świat, w niezbadane przepaści bytu nie może być białe, ani czarne, ani też różowe — może być tylko głębokie, wytrwałe i samodzielne; pewne konsekwencye z tego patrzenia mogą przyjmować to lub inne zabarwienie, lecz samo ono nie podlega zmianom.

Wróćmy do rzeczy. Nie łączę się bynajmniej ze stałem owem utyskiwaniem na absolutną nieudolność i bezwzględne niedołęztwo naszego ogółu; byłyby to oznaki konania, a ja widzę w nim silne znamiona zdolności do życia i odrodzenia. Pragnąłem uwydatnić tylko i oświetlić ów nasz tani pesymizm, niewiele mający wspólnego z istotnym stanem rzeczy. Co do obecnej doby, to rzeczywiście pomimo pewnych przebłysków, zapowiadających zmianę, dotychczasowe położenie jest mało radosne; lecz właśnie dlatego należy zrzucić z siebie piekącą szatę maniery i zacząć reformę pracy ducha. Bez uprzedzeń i nałogów myśli, paczonej przez własne lenistwo i anachronizmy przeszłości, należy spoglądać na wszelkie strony życia, zgłębić je, pojąć podkład myślowy, uczuciowy i społeczny, i wtedy działać, działać w myśl potrzeb całokształtu, a nie plotkować i ogłupiać się dalej płytkimi konceptami.

A patrzeć na sprawy społeczne bez zmrużenia powiek i zawrotu głowy może ten tylko, kto ma w sobie powagę istnienia, kto nie marnotrawi lekkomyślnie darów ducha, a umacnia go wiecznym trudem myśli i uczucia. Pojąć potrzeby ogółu może ten tylko, kto, pewny swego chodu, ma moc nieugiętego dążenie ku celowi, który sobie postawi, nie lękając się chwilowych drżeń i obaw, nie chroniąc się do bezpiecznej przystani maniery. Kto ma własną myśl i uczucie własne, ten tylko może szydzić i gromić, bo szyderstwo jego i grom nie będzie wstrętnem małpowaniem, lecz szczerem odczuwaniem i bólem, zrodzonym z widoku powszechnego mroku umysłów i serc. Tylko taki „nastrój“ — nastrój budzonej samodzielności i ostrej krytyki może dać jasną i pewną podstawę pod budowę przyszłości.

*br.*

## Z nad Warty i Odry.

Nowa ustawa osadnicza. — Wiec protestacyjny. — Skutki nowej ustawy. — Proces *Górnoślązaka*. — Mandat posła Korfantego.

Nowa ustawa osadnicza, mogąca skrępować dalsze rozszerzanie się drobnej własności polskiej, została przyjęta przez sejm pruski i niebawem już wejdzie w życie, uszczuplając znacznie i tak już sprowadzone do *minimum* prawa konstytucyjne, z których w państwie bojaźni bożej mogą korzystać Polacy. Znaczenie nowej ustawy polega na tem, że sankcyonuje ona istniejące już stosunki, oparte na nadużyciu, i nadaje im moc prawną. W ostatnich czasach prawie niepodobieństwem było otrzymanie przez którąkolwiek z polskich instytucyj parcelacyjnych pozwo-

---

ry sobie wytłomaczyłem w ten sposób, że nie miałby nic przeciw towarzyszeniu mi— ale zrozumiałem także, iż postanowił zachować się bez zarzutu do końca.

Mnie zaś na tem tak bardzo nie zależało, abym był bez zarzutu. Utopiłem oczy we drzwiach — a może udałoby się?... Gdy rozważę wszystko, to przecież mnie tu nikt prawie nie zna!

Ale ten straszliwie pusty środek sali, a ci przy mównicy mają taki dobry punkt obserwacyjny. Że też te ławki nie stoją tak, aby mogły stanowić pewną osłonę!

Nie było rady. Straciłem nadzieję po raz najostatniejszy. Było jeszcze siedm, do ośmiu minut czasu. Może Bolle ten raz jeden powie krótko? Może duch nie spłynie na niego? — przecież to się zdarza.

...aby otoczył nas Twój duch święty tak, iżbyśmy doznali łaski przejrzenia, abyśmy prawdziwie i głęboko uznali, jak słabi jesteśmy i jak sami z siebie nic nie możemy zdziałać; abyś dodał nam sił i kierował nami, a zwłaszcza tymi najmłodszymi z pośród nas, aby nie stali się rozbitkami w tem wielkiem mieście...

— Nie, żadnej nadziei! Natchnienie się zbudziło — namaszczenie i łaska święta wylewały się potokiem słów. Nie skończy przed półgodziną — niema co marzyć.

Za kilka minut podniesie się kurtyna w teatrze... a mnie właśnie chodziło o początek, o ten menuet, ach menuet, śliczny menuet.

Szatan mnie opętał. Wysunąłem się po za szereg, zrobiłem się giętki w kolanach, i na palcach, cichutko, ostrożnie posuwałem się pod ścianą. Chwała Bogu, stare buty nie skrzypią!..

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie, czułem je na karku i plecach, ale wsunąłem, o ile można, głowę w ramiona. Ach, nieszczęśliwiec ze mnie — pomyślałem — z pewnością jeszcze lata całe nie będzie dla mnie mowy o prawdziwem nawróceniu się. Szumiało mi w uszach, emisaryusz Bölle wzywał niebiosa na świadka przeciw mnie, ale zdawało mi się, że to brzmi jakiś głos odległy.

...Pomalutku, ostrożnie... ależ paskudne echo... kolana mi się trzęsą... No, chwała Bogu, otóż i drzwi! Klamka trochę zaskrzypiała, ale puściła—wyśliznąłem się przez drzwi uchylone, jak lis, gdy się wymyka ze swej nory; ostrożnie, cichutko, ach! — Zamknęły się za mną, znalazłem się na dworze.

Po deszczu powietrze się ochłodziło i teraz, pod wieczór, rozchodził się błogi powiew wiosny. Niebo było prześliczne, a tarcza słoneczna, leżąca na grzbiecie górskim, błyszczała żółtą czerwienią i ulice były śliczne, i bruk, i chodniki — można nimi było zajść, gdzie kto chciał. I ludzie byli rozradowani, mój Boże, zabawią się nieco!

A i mnie Pan Bóg przebaczy, poprawię się na pewno — tak, kiedyś — nie ulega wątpliwości, że się poprawię — tylko trochę cierpliwości!

I puściłem się w drogę. Przyspieszałem kroku, biegłem niemal — paliło mię pragnienie wielkiego miasta z jego pokusami i niebezpieczeństwami.

Przeł. z norw. *J. Klemensiewiczowa.*

lenia na wznoszenie budynków. Wobec tego rozkolonizowanie majątku ziemskiego pomiędzy gospodarzy polskich, niebędących sąsiadami parcelowanej posiadłości, stawało się niemożliwem. Parcelować można było wyłącznie pomiędzy chłopów-sąsiadów, niepotrzebujących nowych budynków gospodarskich. Na mocy nowej ustawy osadniczej pozwolenie na utworzenie nowej osady będzie zależało od przewodniczącego Komisyi kolonizacyjnej, który ma się rozumieć nigdy takiego pozwolenia Polakom nie udzieli.

Nowa ustawa nie zapobiegnie zwiększaniu się polskiej własności ziemskiej w drodze dokupywania nowych kawałków ziemi przez gospodarzy wiejskich, ale odsunie zupełnie od udziału w parcelacyi te tysiące bezrolnych robotników, którzy, dorobiwszy się grosza w Westfalii, osiadali dawniej na ziemi rozparcelowanej. Te rzesze będą musiały szukać dróg nowych. Ustawa osadnicza da się też we znaki drobnym rolnikom i robotnikom polskim na Górnym Śląsku, gdzie już teraz trudno nabyć mały kawałek ziemi wśród gęsto rozsianych, wielkich posiadłości. Drobni gospodarze ziemscy nie mogą powiększać swej własności z tego względu, że ziemia, należąca do magnatów śląskich, nie parceluje się wogóle; po uchwaleniu zaś nowej ustawy osadniczej i ta część wielkiej własności ziemskiej, która dotychczas oddawana bywała gdzieniegdzie na parcelacyę, stanie się prawie niedostępna dla osadników polskich. W inny sposób ta ustawa odbija się w życiu robotników. Uzależni ona mianowicie jeszcze bardziej ludność pracującą po kopalniach i hutach od właścicieli tych zakładów przemysłowych. Właściciele hut i kopalni będą mogli wykupywać grunta i budować na nich kamienice, na co z pewnością otrzymają pozwolenie, prawie niedostępne dla osób prywatnych. W kamienicach, należących do zarządu hut i kopalń, robotnicy będą się czuli daleko gorzej, aniżeli w mieszkaniach prywatnych, gdyż na wypadek jakiegokolwiek zatargu z zarządem zakładu przemysłowego wyrzucenie robotnika z mieszkania lub groźba takiego wyrzucenia może się stać bardzo silną bronią w ręku zwierzchności fabrycznej.

Nowa ustawa poruszyła do głębi całe społeczeństwo polskie Prus. Wyrazem oburzenia jego był masowy wiec publiczny, zwołany na 29 maja do wielkiej sali Lamberta w Poznaniu. Był to jeden z najliczniejszych wieców lat ostatnich. Zgromadziło się przeszło tysiąc osób z całego Poznańskiego, dalej z Prus Zachodnich i z Górnego Śląska. Reprezentowane były obydwa Koła poselskie — tak sejmowe, jak i parlamentarne, oraz izba panów. Nawet niewiasty dość licznie stawiły się na wiec, zajmując miejsce w lożach, co w Poznaniu jest zjawiskiem dość rzadkiem. Po raz pierwszy na sali znalazł się umundurowany komisarz policyi, czego dotychczas nie bywało, gdyż zwykle władze ograniczały się do wysyłania na estradę dwóch urzędników. Wiecowi temu przypisywano większe znaczenie, o czem by mógł świadczyć i ten fakt, że obradom przysłuchiwał się jakiś większy urzędnik z Berlina.

Przewodniczyli pp. Chłapowski i ks. Stychel. Pierwszym referentem był poseł Bernard Chrzanowski, który mówił o historycznem znaczeniu projektowanego prawa. Przedstawił on w sposób poglądowy dzieje walk słowiańszczyzny zachodniej z zalewem germańskim, udowodniając, że nowa ustawa osadnicza jest dalszym ciągiem niemieckiej polityki eksterminacyjnej wobec Słowian. Wywody swe mówca zilustrował wielką mapą ścienną, na której czerwona plama oznaczała ziemie słowiańskie, pochłonięte przez Niemców. P. Chrzanowski twierdził, że minister, uzasadniając w sejmie nowy projekt o osadnictwie, niezbyt oględnie postąpił sobie, mówiąc, o niebezpieczeństwie słowiańskiem, bo tym sposobem zwrócił uwagę całego świata słowiańskiego na fakt, że polityka Niemiec skierowana jest nietylko przeciw Polakom, ale Słowianom wogóle.

Po naiwnej mowie p. Chrzanowskiego p. T. Jackowski miał się zastanowić nad społeczno-ekonomiczną donioslością ustawy osadniczej, ale ze swego zadania wywiązał się bardzo słabo, gubiąc wątek mowy w napuszonej frazeologii. Najlepszem stosunkowo było wystąpienie p. K. Rzepeckiego na temat „nasze stanowisko wobec projektu ustawy osadniczej.“ P. Rzepecki, zamiast narzekać na zamachy Niemców, poddał krytyce zachowanie się społeczeństwa polskiego wobec tych zamachów. Jeżeli rozejrzymy się w planie naszej obrony wobec systemu pruskiego — mówił on—to zauważymy, że naszej akcyi obronnej brak przedewszystkiem jednolitości, że nie jest ona dostatecznie pogłębiona i rozszerzona na kresy zaniedbane, że czynność istniejących już instytucyj społecznych nie jest należycie rozwinięta. Mówca przytoczył cały szereg faktów, świadczących o niespełnieniu obowiązków przez społeczeństwo polskie. Liczne komitety wyborcze śpią przez 4 lata, jak niedźwiedź przez zimę, nasze podkomitety miejskie i komisarskie, nasze kasy wyborcze istnieją na papierze. Na 1300 radnych w 130 miastach Księstwa mamy zaledwie 300 Polaków. Tylko w Stęszewie, Bninie, Czerniejewie, Dolsku, Gąsawie, Powidzu i Baranowie rady miejskie złożone są z samych Polaków. Panowie strzelcy poznańscy, posiadający długie lata większość członków nawet w zarządzie, pozwolili sobie naprzód przykroić ustawę wedle mody prusackogermanizacyjnej; następnie, mając w zarządzie 6 głosów przeciwko 3 niemieckim, wpuścili do owczarni ryczałtem 350 wilków, które naturalnie polskie barany pożarły. Przepadły tradycye, przepadły pieniądze, ale co nie przepadło? Sobkowstwo i hańba, bo przed tygodniem jeszcze pewna liczba członków dobrowolnie i świadomie stanęła pod jej pręgierzem, nie występując z Towarzystwa po tem wszystkiem. A nasi kupcy, tak w Poznaniu jak na prowincyi, czyż nie wszyscy podszyci są tchórzem? A składki na pomniki, na które duchowni nawet, rzekomo Polacy, sypią po kilkaset grzywien? A kriegervereiny, festyny, festzugi, czy nie wykazują jeszcze setki Polaków?

W drugiej części swej mowy p. Rzepecki podsumował dorobek społeczeństwa polskiego w różnych dziedzinach życia w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Omawiał więc wzrastającą ofiarność na cele wychowania młodzieży, mnożenie się oszczędności polskich w spółkach i bankach (obecnie 50 milionów marek), szerzenie się oświaty zawodowo ekonomicznej, powstanie polskiego związku zawodowego, zmniejszenie się olbrzymie Polaków, ofiarujących Komisyi kolonizacyjnej ziemie na sprzedaż, wypieranie mieszczaństwa niemieckiego przez polskie, wzrost głosów polskich przy wyborach itd.

W końcu uchwalono następującą rezolucyę:

„My, zebrani dnia 29 maja 1904 r. na wiecu w Poznaniu Polacy,

zważywszy, że projektowane przez rząd pruski prawo o osadnictwie wyklucza Polaków od swobodnego osiedlania się na ziemi, a tem samem narusza konstytucyę, na mocy której wszyscy obywatele w obliczu prawa są równi,

zważywszy dalej, że projektowane prawo, powstrzymujące Polaków w tworzeniu własnych zagród, zadaje gwałt najwznioślejszym uczuciom ludzkim, płynącym z miłości i przywiązania do ziemi ojczystej,

zważywszy następnie, że projektowane prawo w granicach królestwa pruskiego ma służyć do pognębienia narodu polskiego, mającego na równi z narodem niemieckim przyrodzone i historyczne prawo do rozwoju narodowego i kulturalnego, i

zważywszy wreszcie, że projektowane prawo przedstawia się jako akt przemocy silniejszego, urągający wszelkim zasadom chrześciańskim i z dobyczom cywilizacyi,— *protestujemy uroczyście* przeciwko rzeczonemu projektowi w imię prawa, w imię zasady wolności, chrześciańskiej sprawiedliwości i cywilizacyi, i oświadczamy publicznie, że ku obronie najwyższych dóbr ludzkości wszystkie siły wytężymy, ufni, że to nowe, ciężkie doświadczenie z pomocą Bożą przetrwamy nieugięci i niezłamani.“

Cały ten wiec był wyrazem opinii i zapatrywań drobno-mieszczańskiego demokratyzmu poznańskiego. Zorganizowały je koła t. zw. „ludowe,“ czy, jak się w Poznaniu mówi: „ludowcowe,“ ale lud — tak miejski jak wiejski, świecił na wiecu zupełną nieobecnością. Koła konserwatywne traktowały całe to przedsiewzięcie z pewną nieufnością, a księża stawili się zaledwie w liczbie jakiegoś dziesiątka osób, co w Poznanskiem jest zjawiskiem niebywałem.

Wiece protestacyjne, które mają być urządzone obecnie i na prowincyi, posiadają pewne znaczenie agitacyjne, ale naturalnie mogą nie zmienić i nie zmniejszą bynajmniej skutków nowej ustawy osadniczej.

Charakterystyczne, że na wiecu poznańskim nie mówiono nic o sposobach zapobiegania niepożądanym wynikom reformy ustawy o osadnictwie. Tymczasem te sposoby powinny się znaleźć, tembardziej, że i prywatni właściciele Niemcy muszą ułatwić Polakom działalność w tym kierunku. Wymaga tego ich własny interes, ponieważ nowa ustawa, nadająca przywileje Komisyi kolonizacyjne, fatalnie się odbije na niemieckiej (większej) własności ziemskiej, przeżywającej obecnie kryzys dość ciężki. Usunięcie z pola polskich nabywców ziemi wpłynie na znaczne obniżenie jej ceny, na czem stracą przedewszystkiem więksi właściciele niemieccy, pomiędzy którymi daleko więcej, aniżeli wśród Polaków, jest dziś osobników, zmuszonych pozbyć się majątku. Jaką formę przybierze ta akcya ratunkowa niemieckich właścicieli większych posiadłości, trudno na razie powiedzieć, są jednak sposoby ominięcia kolców nowej ustawy osadniczej. Jednym z takich jest tworzenie spółek udziałowych, które nabywałyby majątki w całości i prowadziły w nich gospodarkę, nie parcelując. Też same spółki mogłyby uciec się do systemu dzierżaw. Rzeczą praktyków obmyśleć, co robić.

Komu nowa ustawa zasadnicza przyniesie większą szkodę — Polakom czy Niemcom? — to pytanie, jednakowo interesuje obie strony. Zdawałoby się, że pod tym względem nie może być dwu zdań, bo wszakże rząd pruski nie tworzyłby praw na niekorzyść Niemców. Jednakże i z tą ustawą, tak jak ze wszystkiemi innemi, działającemi wbrew żywiołowym procesom społeczno-ekonomicznym, będzie to samo. Krępując żywioł polski w jednym punkcie, zmusza go do większego wyładowania się w innym, i w rezultacie ostatecznym Niemcy stracą więcej od Polaków, co przewidują już tacy ludzie, jak np. prof. Delbrück.

Dążność do nabywania drobnej własności ziemskiej wśród chałupników i robotników, powracających z emigracyi zarobkowej, jest tak potężna, że spotkawszy przeszkodę nie do przebycia w ustawie, uniemożliwiającej kolonizacyę, będzie biła taranem w *niemiecką*, drobną własność ziemską. Wykupywanie pojedyńczych gospodarstw z rąk chłopów niemieckich, nierzadkie już teraz, spotęguje się niechybnie w najbliższej przyszłości i kto wie, czy ten proces nie doprowadzi do zupełnego

absurdu całej działalności Komisyi kolonizacyjnej. Z drugiej strony, nie mogąc osiąść na roli, znaczna część powracających z Westfalii i Nadrenii wzmocni żywioł polski po miastach i miasteczkach, wypierając stamtąd Niemców. W każdym razie najbliższe lata stwierdzą, kto więcej straci na nowem, barbarzyńskiem zarządzeniu hakaty pruskiej.

Pomimo że poseł Korfanty umożliwił kardynałowi Koppowi wyjście z honorem z fatalnego procesu, *Górnoślązak* nie uniknie sprawy z księżmi-hakatystami. Zdawało się, że za cenę uchronienia Koppa od ostatecznej kompromitacyi kler germanizatorski odstąpił od procesu. Tymczasem pokazało się, że wraz z Koppem cofnęło skargę zaledwie czterech księży. Reszta obstaje przy skarżeniu *Górnoślązaka*. Przypuszczać należy, że nie chodzi bynajmniej o „rozdwojenie w obozie duchowieństwa górnośląskiego," lecz o zwykły podstęp przebiegłych klerykałów, gdyż karność kleru jest zbyt silna, ażeby możliwym był otwarty bunt przeciwko kardynałowi-zwierzchnikowi. W takim razie porażka *Górnoślązaka* byłaby bardzo dotkliwą.

Komisya rugów wyborczych w parlamencie rzeszy zakwestyonowała mandat Korfantego. Możliwem więc jest, że nastąpią nowe wybory, które mogą zmienić dotychczasowe położenie, gdyż zwolennicy p. Morawskiego nie będą już zapewne tym razem głosowali przy wyborach ściślejszych za p. Korfantym.

*Pośrednik.*

# Listy z Francyi.

Ostatnie wybory do rad miejskich. — Neoportunizm Jaures'a i jego partyi

Mija już blizko miesiąc od chwili dokonania wyborów do rad miejskich w całej Francyi, a niema jeszcze dokładnych obliczeń, pozwalających oznaczyć ilość głosów umiarkowanych republikanów, radykałów, jauresistów, guedystów itp. Kto wie nawet, czy kiedykolwiek można będzie zrobić podobnie ścisły obrachunek wyborów tegorocznych, w wielu bowiem miejscowościach dawano tylko określenie ogólne — antiministériel i ministériel — tj. przeciwników i zwolenników antiklerykalnej polityki obecnego ministeryum Combes'a. Wogóle tym razem zwracano znacznie mniej uwagi na zdolności kandydata do zajmowania się sprawami miejskiemi, chodziło bowiem przedewszystkiem o przekonania polityczne. Z tej też przyczyny walka była goretszą, bardziej zażartą, a może i wstrętniejszą, niż kiedykolwiek.

Trzeba żyć wśród atmosfery wyborczej, znać dokładnie warunki i mieszkańców danej okolicy lub dzielnicy, być samemu wyborcą i przyjmować udział w walce, ażeby poznać strony ujemne dzisiejszych wyborów, nawet we Francyi, gdzie mamy tajne głosowanie powszechne. Nie mówimy o kłamstwach i potwarzach, jakiemi wzajemnie obrzucają się przeciwnicy, o przechwałkach i obietnicach wszystkich kandydatów, to bowiem jest znane każdemu. Lecz pragnęliśmy zwrócić uwagę na korupcyę, jakiej niepodobna uniknąć przy dzisiejszym ustroju społecznym nawet w rzeczypospolitej francuskiej. Zdawało się czasami, że wybory mają miejsce nie w Marsylii, Lille lub Roubaix, ale w jakimś galicyjskim Buczaczu lub Stanisławowie,— tak rażącemi były nadużycia i przekustwa. Ktoby dał wiarę, że fabrykanci przez swych majstrów rozdają kartki wyborcze, że pod ich dozorem posyłają robotników do głosowania, że w biurach wyborczych czujnie śledzą, jaki jest odcień, kształt lub gatunek papieru kartek wrzucanych do urny, że wszelkimi siłami, starają się odporniejsze jednostki zatrzymywać dłużej przy pracy, a pozbawionym zarobku dostarczać go w dniu wyborów, że przez dostawców, piekarzy, rzeźników, szynkarzy, przez córki i żony namawiają lub zmuszają do głosowania za swym kandydatem?

Wielu ludzi się, że możnaby zapobiedz przekupstwu przez ustanowienie surowych kar, jako też przez urządzenie przy lokalach wyborczych oddzielnego pokoju, gdzie wyborca pozostawiony przez chwilę sam mógłby swobodnie napisać imię kandydata i zapieczętować je w kopercie. Czyż jednak w obecnych czasach możliwą jest niezależność ludu pracującego? czyż kapitaliści nie znajdą zawsze środków dla skłonienia ludzi, żyjących z pracy, do głosowania wedle narzuconego im rozkazu?...

Charakterystycznem było przy tegorocznych wyborach, że bardzo mała ilość kandydatów ze skrajnej lewicy wywiesiła swój program społeczny i usiłowała go bronić. Znakomita zaś większość, wszyscy zwolennicy Millerand'a, Jaurés'a, Pressensé lub Briand'a ograniczyli się na gorącem popieraniu antiklerykalnej polityki obecnego ministeryum i nawoływaniu do łączenia się pod hasłem „precz z kongregacyami" wszystkich republikanów, choćby największych przeciwników rdzennych reform społecznych. Program antiklerykalny był tak ponętny, tak na pozór możliwy do urzeczywistnienia przez Combes'a, tyle budził wiary i zaufania, że w większych miastach, jak Paryż lub Lyon, wielu robotników, nieufnie usposobionych do parlamentaryzmu, podporządkowujących zazwyczaj wszystko zmianie warunków ekonomicznych, w tym roku stanęło liczniej niż zwykle do urny, by nie dopuścić do rządu gminnego zwolenników kleru i zakonów. Pomimo więc wzrastającej liczby robotników „antiparlementaires," zwolenników „action directe," nawet w Paryżu głosowało w tym roku 79%, gdy tymczasem przed czterema laty tylko 71%.

Wobec połączenia się republikanów wszelkich odcieni (wyjąwszy ultra-umiarkowanych, jak Ribot), w jeden tak zw. „bloc," polityka ministeryalna odniosła zwycięztwo, aczkolwiek nie tak znaczne, jak głoszą jej zwolennicy. Na 36,170 gmin, które powołały do zarządu 430,120 radców, ministeryum pozyskało ogółem o 1,715 rad gminnych więcej, niż miało przedtem. W samym Paryżu walka była najzaciętsza, szło bowiem o wyrwanie zarządu z rąk nacyonalistów, którzy od r. 1900 stanowili w radzie miejskiej większość, jakkolwiek bądź i wówczas ogólna ilość głosów republikańskich wyższą była od nacyonalistycznych o 67,683. W tym roku nadwyżka wynosiła 75,023 i dzięki tej, choć nieznacznej różnicy, zwycięztwo odnieśli republikanie. Obecnie na 80 radców municypalnych Paryża do obozu nacyonalistycznego należy 33, radykałów jest 44, wreszcie 3 mianuje się republikanami niezależnymi. Radykali górują conajmniej 8 głosami, a z tej racyi i członkowie zarządu wybrani zostali wczoraj z ich grona. Na porządku dziennym prac nowej rady stoją niezmiernie ważne kwestye: objęcie przez miasto oświetlenia gazowego, zniesienie monopolu kompanii tramwajowej itp. Naturalnie, arystokratyczne i burżuazyjne dzielnice pól Elizejskich, placu Vendôme, Saint-Honoré, Palais Royal — wybrały podawnemu znanych reakcyonistów, ale za to dzielnice robotnicze opamiętały się i wyniosły z urny wyłącznie skrajnych republikanów, dając im po 6, 8 i 10 tysięcy głosów. Porażka więc nacyonalistów w Paryżu jest zupełną, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że w ich łonie niema już zgody, niema jedności programu. Przekręcając, fałszując fakta, łatwo im krytykować i obrzucać błotem przeciwników, ale niepodobna wyznać szczerze i jasno do czego dążą. Jak przedkilkunastu laty bulanżyzm został obalony, rozpierzchł się, aby później powstać pod inną postacią, tak dziś chyli się do zupełnego upadku nacyonalizm, wszystkie partye reakcyjne odzyskują swą niezależność, aby po jakimś czasie znów się połączyć w nowy związek w imię mniemanej obrony ojczyzny przed wrogiem wewnętrznym?

Choć republikanie odnieśli zwycięztwo, a nacyonalizm wyraźnie traci swą siłę, choć Paryż, Lyon, St. Etienne, Toulouse, Brest, Tours, Dijon i Clermont Ferrand posiadają rady miejskie, radykalne, to jednak w bardzo wielu dużych miastach robotniczych ster rządu gminnego pozostał w rękach wsteczników, którzy weszli do rady w większości. A jakkolwiek większość ta gdzieniegdzie jest nader słabą, bo szalę zwycięztwa przechyliło kilkadziesiąt głosów zaledwie, to jednak niemniej za wstecznie uważać należy rady miejskie w tak wybitnych centrach życia przemysłowego, jak Lille, Marsylia, Bordeaux, Havre, Rouen, Grenoble, Roubaix, Montluçon, Bourges.

Nie możemy przeceniać zwycięztwa republikanów, przyznać jednak należy, że wszędzie niemal hasło „precz z zakonami, precz z oświatą klasztorną," hasło wyzwolenia z pod ucisku kleru i kościoła, spotykało przyjęcie nader przychylne, potrafiło zespolić republikanów różnych odcieni, sprowadzić do urny wyborczej nawet „antiparlementaires." Zdawało się więc, że ministeryum i deputowani radykalnego kierunku, mając tak gorące poparcie kraju dla swej walki antiklerykalnej, nie zawahają się, by z chwilą nadejścia odpowiednich okoliczności zerwać, a choćby tylko rozluźnić pęta, krępujące Francyę od wieków.

Wyzywający protest papieża z powodu przyjazdu prezydenta Loubeta do Rzymu, wysłany do francuskiego ministeryum w odmiennej redakcyi, niż do innych rządów katolickich, wyraźna odmowa wszelkiego tłomaczenia się, odwołanie acz bez formalności urzędowych ambasadora francuskiego z Watykanu, ogólne oburzenie całej republikańskiej prasy i całego narodu za mieszanie się papieża do prezydenta Francyi, — wszystko to nastręczało Izbie doskonałą sposobność, jeśli nie do natychmiastowego zerwania konkordatu, to przynajmniej bezwłocznego przystąpienia do obrad nad rozdziałem Kościoła od państwa, ku czemu odpowiednie projekta, złożone przeszło od pół roku przez Hubbarda i Fr. Pressensé i przedyskutowane w komisyach, dostarczały gotowego materyału.

Tymczasem, gdy przed kilku dniami podniesioną została w Izbie sprawa protestu papieża i odwołanie ambasadora francuskiego z Watykanu, znakomita większość radykalnych, nawet ultra-radykalnych deputowanych, jak gdyby ulękła się odpowiedzialności i zamiast postawić sprawę jasno i konsekwentnie ją przeprowadzić, ugrzęzła w czczej gadaninie, pustej frazeologii i zadowoliła się niejasnemi obietnicami Combes'a, że na wiosnę roku przyszłego będzie można przystąpić do dyskusyi nad projektem, co do rozdziału Kościoła od państwa. Te obietnice zaspokoiły zarówno umiarkowanych, jak reakcyonistów. Czy jednak taka polityka Jauresa, Briand'a, Pressensé i innych krańcowych radykałów, mieniących się wyrazicielami życzeń ludu, nie jest w istocie polityką — jak ją dowcipnie mianuje Clémenceau „politique du gagne-petit," nie jest neo-oportunizmem, który już dziś prowadzi na manowce?

*Dr. Józef Zieliński.*

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Na stacyi.

Przemysł zwala na stacyę kolei góry towarów, a potem rozrzuca je z niej na wszystkie strony. Czego tam nie ma! Sieczkarnie, buty filcowe, wyżymaczki, tkaniny, kotły, łopaty, sznurowadła, gilzy, nasiona itd. Dopiero w tych nagromadzeniach wyrobów widać, ile człowiek ma potrzeb i jak daleko odszedł od prostego stanu swej pierwotności. Uświadamiam to sobie z niemałem zdziwieniem. Bo gdybym jeszcze przed chwilą, zanim spojrzałem na te ładunki, zastanowił się nad sobą, mniemałbym, że wyjeżdżam z minimalną ilością środków użytkowych. Prawda, że wieść mnie będzie pociąg, który jest wytworem bardzo złożonym, ale skromna moja walizka zawiera tylko rzeczy najkonieczniejsze! Tymczasem dla przygotowania tych rzeczy najkonieczniejszych potrzeba było tysiąców lat rozwoju i wielu skombinowanych prac ludzkich.

Znowu przynieśli paki towarów. Pytam, co w nich? Drut, kopyta szewckie, obicia papierowe, platery, płaszcze gumowe — i inne przedmioty. Wszystkie niezbędne i wszystkie ze znamionami długiego postępu i licznych udoskonaleń. Kto ich dokonał? My, ludzie z literatury, ze świata imiennych dzieł, imiennych zasług, imiennych tryumfów, imiennych sław, gdzie nietylko każdy cenniejszy twór, ale nawet każda jego cząstka musi mieć w pamięci naszej swoją skróconą metryczkę, spoglądamy z pewnem lekceważeniem na te produkty bez nazwisk. Co to jest *Konrad Wallenrod*? Jest to dostojny pan, szlachcic wylegitymowany szczegółowo ze swoich przodków i potomków, posiadający akta rodowe w zupełnym porządku. Wiadomo nawet dzieciom w szkołach, że jego ojcem jest Adam Mickiewicz, a stryjem Byron, znane są najdalsze jego powinowactwa. Nie wolno bez utraty tytułu człowieka ukształconego zapomnieć, kto wyrzekł: „Sto lat mijało, jak zakon krzyżowy we krwi pogaństwa północnego brodził.“ Tymczasem co my wiemy o pochodzeniu pompy, którą w tej chwili robotnicy kładą na platformę wagonu? Nic. Zarówno ona, jak te wszystkie wyroby przemysłu, które widzę zgromadzone na stacyi, są bezimienne. To podrzutki nie umiejące wskazać swoich rodziców, podczas gdy najnędzniejsza książka, rzeźba, obraz należy do dzieci prawych. Czy te dzieci prawe przewyższają podrzutków nawet wartością?

Żaden geniusz upostaciowany, osobisty nie trzyma miary nieupostaciowanego, nieosobistego. Twórca poematu lub posągu może być bardzo wielkim, ale zawsze będzie mniejszym, niż ten olbrzymi duch, który przez wieki tworzył i doskonalił rozmaite wynalazki. Chociaż on objawiał się w wielu osobnikach, niepamięć złączyła je w jednej nieśmiertelnej i powszechnej sile, która działa w różnych czasach i miejscach. Ponieważ nie znamy nazwisk ludzi, którzy wymyślali coraz lepsze noże, krosna, kotły lub szkła — więc zdaje nam się, że to robił ciągle jakiś jeden genialny i niezmordowany duch, zaspokajający potrzeby ludzkie. Wyrasta on w fantazyi naszej do nadzwyczajnych rozmiarów, staje się kolosem, przy którym największe, pojedyncze umysły wyglądają niby pracowite, ale drobne mrówki. Jak natura jest matką bezimiennych dzieci, tak on jest ojcem bezimiennych dzieł. Cała ta masa towarów, którymi w moich oczach napychają się wagony kolejowe, jest jego robotą. On wszystko umie, wszystko wytwarza: tu kafle do pieców, tam chustki jedwabne, tam klejnoty lub koła do maszyn.

Wyobraźmy sobie, że literatura i sztuka zatarły na swych tworach nazwiska artystów i myślicieli, że jak w przemyśle zachowały ledwo kilkadziesiąt imion najznakomitszych, że czytamy książki, oglądamy obrazy i słuchamy koncertów, nie znając wcale ich autorów, którzy zlewają się nam w jakąś nieokreśloną, nienazwaną, bezcielesną postać. Czy imaginacya nasza nie nada tej postaci cech i sił boskich? Czy za mgłami tajemnic nie będziemy widzieli potężnego ducha, który niedostrzegalną ręką pisze dla nas prawdy i stwarza piękno?

Ależ to co innego! — zawołają czytelnicy. Talerze, broń, lampy elektryczne — to nie dramaty, krajobrazy lub rzeźby. Tak jest. Niepodobna zaprzeczyć różnicy, ale której stronie daje ona przewagę?

Pytanie to jest z pozoru bluźnierstwem. Nie zapominajmy jednak, że ocenianie rzeczy, objawów i czynów dokonywa się głównie przez literatów, którzy swojej sferze i przyległym jej przypisują szczególne znaczenie. Czy możecie sobie wyobrazić tak skromnego autora, któryby przyznał, że jego licha komedyjka posiada mniejszą wartość, niż szal indyjski! Rzemiosło, chociażby nawet artystyczne, fabrykacya, chociażby piękna — to zwyczajny piasek, a twory pióra, pędzla i dłuta, chociażby najnędzniejsze — to kryształy i ziarnka złota w tym piasku.

Przywieziono na stacyę kilkanaście pak książek. To także towar przemysłu wydawniczego. Czy ze wszystkich najszlachetniejszy, najlepszy, najpożyteczniejszy? Kwestya ta dręczy mnie niemiłosiernie oddawna. Gdy widzę pługi, nici, chomąta, perkale — jestem przekonany, że patrzę na rzeczy pożyteczne, bo czyniące zadość istotnym potrzebom ludzkim. Ale gdy widzę książki, ogarnia mnie dziwna niepewność. Oto z jednej skrzyni wygląda grzbiet dzieła „Celowość w naturze.“ Nie znam go, ale przypuszczam wypadek najpomyślniejszy, że autor jest człowiekiem bardzo zdolnym i sumiennym, że zbadał wszystko, co przed nim napisano o tym przedmiecie i wydał pracę równie gruntowną, jak oryginalną. I cóż stąd? Czy ta jego praca może tak stanowczo dowieść swej użyteczności, jak maszyna, która ją wydrukowała? Na uboczu leży wiązka sierpów, które mnie hypnotyzują. Zdaje mi się, że słyszę ich szept: rozkupią nas wieśniacy, pobłogosławią, zetną nami swoje zboże, będziemy im służyć przez lat wiele, a gdy zardzewieją i stępieją nasze ostrza, będziemy w starości oskrobywać z drzew mchy i starą korę. A zarazem zdaje mi się, że „Celowość w naturze“ milczy smutnie i myśli: co mi ręczy, że nie jestem zbiorem złudzeń i błędów? Dziś jedni nazwą mnie mądrą, drudzy głupią, a za parę lat wszyscy — przestarzałą. I czy przynajmniej schodząc ze świata, będę miała tę pociechę, że pozostawiłam ludziom jakąś korzyść? Sierp nie będzie, o tem wątpił, chociażby wynaleziono lepsze lub chociażby go zastąpiono innem, doskonalszem narzędziem. Bo w każdym razie odpowiedział potrzebie. Ale ja nie mam tej wiary. Bo może byłam tylko daremną stratą trudów i kosztów? Może zamiast prawd rozniosłam wiązkę fałszów? Może zamiast przyspieszyć, zatamowałam postęp wiedzy w tej sprawie?

Druga skrzynia napełniona poematem: „Mgły.“ Autor wyprawił go z wielką dumą, do której zresztą niezwykły talent daje mu zupełne prawo. Ale gdy jego utwór znalazł się między towarami obok siewników — spokorniał. Zrozumiał odrazu, że te siewniki niosą ludziom niewątpliwe dobro, a on? Czy jego fantastyczne wizye, wprowadzające bezładny zamęt w dusze ludzkie; czy ten jego ogień, który w nie rzuca i wywołuje niszczące pożary uczuć; czy te pasma barwnych pajęczyn, któremi usiłuje oprząść umysły swych czytelników, nie są jego samolubnem igrzyskiem z ich szkodą? Taka trwoga nie ogarnia wyrabiaczów juty i barchanu, które również leżą w pakach.

Traktat filozoficzny, poemat, obraz, grupa rzeźbna, juta, barchan, siewnik, sierp— jednym tchem wypowiedziane i na jednych szalach zważone? Czy to nie zbyt śmiała zniewaga i nie zbyt ryzykowny paradoks? Jeżeli tak sądzisz, czytelniku, a nie jesteś ani autorem, ani artystą, to podziękuj losowi. Bo niezawodnie kiedyś opadłyby cię wątpienia i, przypatrując się na stacyi kolejowej różnym towarom, między którymi znajdowałyby się również książki, może byś po głębszym namyśle odetchnął lżej, uświadomiwszy sobie, że tam niema... twoich. Strzała wylatuje z wielką dumą a spada z wielką pokorą. Tak samo pociski ducha ludzkiego. Kiedy piszemy pierwsze poezye, pierwsze rozprawy naukowe, pierwsze powieści, zdaje nam się, że jesteśmy wcielonymi bogami i że wszystko, co nie należy do literatury i sztuki, ożywiać może tylko naszą pogardę. Powoli wszakże przekonywamy się, że tak nie jest, że często mniemani bogowie są pustymi mieszkami próżności, a lekceważone przez nich roboty dla zaspokojenia zwyczajnych potrzeb ludzkich noszą na sobie znamię wielkiego, bezimiennego geniusza. Niewątpliwie, czasem jedna prawda, jeden piękny utwór da ludzkości więcej zadowolenia, niż wszystkie arcydzieła przemysłu, ale ileż jest takich, które mogą o sobie powiedzieć, że zawierają prawdę lub piękno? Tę pewność mają tylko płody głupców.

*Poseł Prawdy.*

## BADANIA NAUKOWE.

# Gabryel Tarde.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

—υ—

Hypotheses fingo..

Socyologia ma prawo gorzko użalać się na ubiegłe półrocze: śmierć zabrała w ciągu tych kilku miesięcy jej najwybitniejszych przedstawicieli. Pomarli Herbert Spencer i Albert Schaeffle— jeszcze w ostatnich tygodniach r. 1903; po Nowym Roku już marxista włoski Antonio Labriola, do którego działalności jeszcze nam powrócić pewno wypadnie, Mikołaj Michajłowskij i świeżo, nagle, w 62 roku życia przez śmierć zaskoczony, znakomity pisarz, świetny stylista francuski, Gabryel Tarde — socyolog, prawnik, antropolog, kryminolog, psycholog, ekonomista, statystyk, archeolog, filozof i poeta w jednej osobie. Tarde zaczął od skromnego stanowiska sędziego śledczego w jakiemś zapadłem miasteczku południowej Francyi, gdzie z nudów pisał z początku wiersze, potem paroma ciekawymi artykułami zwrócił na siebie uwagę Ribota, redaktora *Revue philosophique*; później przeniósł się do Paryża, gdzie otrzymał posadę naczelnika wydziału statystycznego w ministeryum sprawiedliwości i po długim szeregu dzieł *) skończył, jako profe-

*) Philosophie penale. Criminalite professionnelle. Criminalite comparée. Crimes des foules. Positivisme et penalite. L'opinion et la foule Transformations du

sor w „College de France,“ tej jedynej w swoim rodzaju, wolnej, choć przez rząd utrzymywanej, akademii, gdzie wykładają największe umysły Francyi: po Micheletach i Bernardach — Renani i Berthelotowie. Akademia nauk etycznych i politycznych obrała też przed dwoma coś laty Tarde'a swoim członkiem.

Jeśli przytoczyliśmy te główne daty z życia naszego socyologa, to nietylko dlatego, żeby przy tej sposobności zaznaczyć, jak to w demokratycznych warunkach francuskich każdy prawdziwy talent, choćby zagrzebany w jakiemś Sarlat, ostatecznie dość prędko wybije się i zajmie stanowisko sobie należne, ale głównie dlatego, że dostarczają nam one odrazu psychologicznych danych do zrozumienia niektórych stron teoryi Tarde'a. Tak np. całe życie pozostał on prawnikiem, zamiłowanym w symetryi i mechanicznym porządku wśród mnóstwa różnorodnych faktów, sędzią, dla którego każda luka, każde zamieszanie w raz rozpoczętej linii rozumowania musi być czemś złem. Jakie społeczeństwo jest, podług Tarde'a, idealnie doskonałem? Takie, w którem myśl, powzięta przez kogoś wybitnego, najprędzej i bez przeszkód się rozpowszechni, plan jakiegoś geniusza najdokładniej urzeczywistni się, bez zmian przy przechodzeniu naśladowczem od jednostki do jednostki. Dopatrując się czegoś w rodzaju społeczeństwa w każdem zrzeszeniu (do czego jeszcze powrócimy) — od hypotetycznych monad w atomie, atomów w cząsteczce, cząsteczek w komórce, komórek w organizmie, aż do zrzeszenia najwyższych istot organicznych w społeczeństwie ludzkiem, Tarde wypowiada myśl, że molekuła jest społeczeństwem o wiele starszem od ludzkiego, a więc i doskonalszem pod tym względem, że osiągnęła już zupełną jednostajność i mechaniczną prawidłowość ruchów atomów i stosunków ich wzajemnych — stan, który dla ludzkości, w części przewidywany przez Milla, jest jeszcze ideałem odległym [1]). Oczywista puścizna po całej autorytarnej, centralistycznej i literacko-klasycznej przeszłości królewskiej Francyi, której świetność wciąż jeszcze panuje nad umysłami...

Z drugiej strony, Tarde przez całe życie pozostał poetą, jakkolwiek po „Contes et poemes“ (1879) już wierszy nie pisał, a przynajmniej nie drukował. W poezyach jego występuje przedewszystkiem zamiłowanie do nadzwyczajności, które się wyraża np. w idealizowaniu wieków średnich, jako czasów „burzliwych, pieniących się i żywych, płodnych w porywy, świat zbawiające,“ kult miłości i — jako czynnik równie ważny — skłonności do filozofowania na granicach metafizyki, a właściwie już zupełnie w jej dziedzinie. Wszystkie te czynniki odnajdujemy na pierwszym planie w filozofii i socyologii Tarde'a. Miłość np. staje się u niego wprost jakiemś źródłem wszechrzeczy, w takiem niemal znaczeniu, jak u niektórych filozofów greckich. W społeczeństwie, w naturze żywej zarówno jak „nieżyjącej“ (dla Tarde'a zresztą niema natury nieżyjącej) wszystko się sprowadza do „powtarzania powszechnego.“ A powtarzanie się ciągłe, bez zmęczenia, z przyjemnością, czegóż jest cechą, jeśli nie miłości? Trzeba więc chyba przypuścić, że na dnie stworzenia leży nieprzebrana jakaś jej kopalnia [1]). W specyalnym artykule, drukowanym przed laty w *Prawdzie*, mieliśmy sposobność wykazać, że Tarde w swych pracach naukowych powtarza czasami dosłownie myśli, rzucone w poezyach, które w tych pracach naukowych, sądzone z innego punktu widzenia, podług innych wymagań, zamiast ujmować, dziwią i gniewają. Oto np. poeta, wpatrzony w bezmiar niebios, pyta się niespokojnie:

Pocóż to rzeczywistość w bezmiarze możliwym?
I poco gwiazdy świecą wśród niezmiernej próżni? [2])

Myśl o jakimś „bezmiarze możliwego,“ ciemnym, nieznanym, groźnym, wśród którego rzeczywistość jest tylko drobnym, jasnym punkcikiem, jak gwiazda na czarności niebios, u poety nie razi nas, przeciwnie, wprawia w pewien nastrój, przejmuje może pewnym dreszczem. Ale co mamy z nią począć, kiedy ją powtarza nowożytny filozof, nadając kategoryi możliwego pozór bytu realnego, tylko jakby nieco słabszego, niż właściwa rzeczywistość drugoplanowego, czy znajdującego się pod spodem? Rzeczywiste da się pojąć tylko wtedy, gdy się je powiąże z bezmiarem możliwego, czyli warunkowo koniecznego, wśród którego pływa ono, niby gwiazda w przestrzeni nieskończonej“ [3]). O co tu właściwie chodzi? Otóż wiadomo, że T. nie może sobie dać rady ze zjawiskiem, kardynalnem dla niego, bo dającem początek każdej z nieskończonych fal naśladowniczych, mianowicie z wynalazkiem, odkryciem, wogóle — nowością. Raz próbuje ujmować kolejność nowości w jakieś, zresztą bardzo chwiejne i mgliste prawa, kiedyindziej zaprzecza wszelkiej prawidłowości wynalazków, a przynajmniej wszelkiej możliwości jej wykrycia [4]). Skąd to pochodzi, zobaczymy dalej: Tarde'owi potrzebna jest koniecznie wolność wybitnych jednostek od powszechnej prawidłowości społecznej. Ale metafizyczna kategorya urealnionej możliwości pozwala się wywinąć napoczekaniu: „Gdybyśmy znali wszystkie wynalazki, tak rzeczywiste, jak urojone, to zapewne dałoby się je ustawić w prawidłowe szeregi, niby ciała chemiczne podług pewnych teoryj.“ Lecz przeszkadzają temu „luki nieurzeczywistnionego“ [5]). Człowiek-pozytywista przeciera oczy, czy dobrze przeczytał: jak można mówić o *poznaniu* możliwego, i to w przeszłości, a więc tego, co już nie stało się i nie stanie? I jak można uważać właśnie to możliwe za jakiś rezerwoar, z którego od czasu do czasu wyłania się kawałek rzeczywistości? za przestrzeń, w której wynalazki, niby utajone komety, biegają po nieznanych liniach, aż któryś *przypadkiem* wpadnie na *styczną* [6]) ziemi i ukaże się niespodzianie ludziom, jako błysk geniusza? Lecz tak jest. Tarde poprostu czasem aż kokietuje czytelnika poetyzowaniem, dowolnością, zabawą w socyologii. *Hypotheses fingo* — mówi sam o sobie w rozprawie: „Les monades et les sciences sociales,“ w której rozwodzi się nad społeczeństwem-molekułą, społeczeństwem-organizmem itd.; „oddawałem się przez czas pewien z przyjemnością, acz nie bez zawodu, łatwej czynności zbierania antytez, jak do zielnika“—wyznaje w przedmowie do „Opposition universelle.“ I jest to, niestety, tylko pomieszanie nauki społecznej z poezyą, dla obu szkodliwe. Raz jednak było inaczej: nie, żeby poezya przyniosła jakiś pożytek socyologii, ale Tarde siłą swego poetycznego talentu potrafił na socyologicznem tle naukowem wyhaftować piękną, wzorzystą epopeję. Kto pożąda poezyi niezwykłej, podobnej z charakteru do fikcyj astronomicznych Flammariona np., ale bez porównania piękniejszej, niech czyta dziwną utopię Tarde'a p. t. „Fragmenty dziejów przyszłych“—dziejów ludzkości, która po wygaśnięciu słońca uratowała się od zguby zamieszkaniem w głębi globu ziemskiego, w cudnych, jednostajnie ciepłych, dowolnie oświetlonych, pyszne zdobionych galeryach. Oprócz estetycznych piękności, próba ta ma też pewne znaczenie naukowe. Tarde chciał mianowicie, przez fikcyjne postawienie ludzkości w takich sztucznych warunkach, zbadać, coby się z nią stało, gdyby była pozbawiona otoczenia roślinnego i zwierzęcego, żyjącego, lecz niższego, i wykazać, że pierwiastek uspołecznienia, wymiany idej i stanów duchowych, doszedłby wtedy do najwyższego rozwoju.

Rzecz bardzo charakterystyczna, że aby wyzwolić społeczeńskość, aby osiągnąć najwyższy stopień życia duchowego—sztuki a, nawiasem mówiąc, i piękności fizycznej, Tarde musiał w fikcyi swojej usunąć z życia ludzkości coś, zdaniem naszem daleko ważniejszego i szkodliwszego, niż „półspołeczne“ obcowanie ze światem roślinnym i zwierzęcym: indywidualną walkę o byt, konieczność ciężkiej pracy zawodowej, musiał w swem społeczeństwie przyszłości, nawet jeszcze przed nastaniem „ery podziemnej,“ przypuścić — uspołecznienie środków produkcyi i niemal — Lafargueowskie „prawo do lenistwa.“ Ale na coś podobnego pozwolił sobie, trzeba odrazu zaznaczyć, tylko Tarde-poeta... W innych swych pismach okazuje się on zawsze stanowczym, często zawziętym lub wzgardliwym przeciwnikiem realnych dążeń do podobnego ideału. Miłość, nie nienawiść, wiara, nie negacya, harmonia, nie przeciwieństwo— to jego gwiazdy przewodnie. Indywidualizm — nietykalne palladyum. Jak stanowisko klasowe wpływa niepostrzeżenie na pozornie najdalsze od niego, najbardziej bezinteresowne wywody socyologiczne, a nawet filozoficzne, to w jednym poszczególnym wypadku, w zagadnieniu „powszechnej przeciwstawności“ mieliśmy już sposobność wykazać [1]). Tu uogólnimy tę naszą metodę. Albowiem oczywiście jeśli idzie o *zrozumienie* Tarde'a — jak każdego innego myśliciela — to jego skłonności i nałogi sędziowskie, urzędnicze, poetyczne itp. grają pewną rolę, ale podrzędną: one sprawiają zewnętrzne zabarwienie myśli, owe połyski, któremi dany system się mieni; źródło głównego prądu myślowego, przyczyna jego kierunku tkwi głębiej: w klasowości myśliciela, która jest formą *konkretną* „środowiska“ Tarde'owskiego. Sądzimy zaś, że zrozumieć bieg jego myśli i określić stanowisko w rozwoju nauki i myśli społecznej wogóle, to jedynie godny socyologa sposób oceny wybitnego myśliciela, który zeszedł z areny, nie zaś proste, z góry potępienie i odrzucenie; jesteśmy przekonani, że i sama owocna krytyka tylko przez takie wniknięcie w umysł badany może być osiągnięta.

*Dr. K. Krauz.*

pouvoir. Transformations du droit. Essais et mélanges de sociologie. Etudes pénales et sociales. Etudes de psychologie sociale. Les lois sociales, esquisse d'une sociologie. *Les lois de l'imitation. La logique sociale. L'opposition universelle* Uprzedzamy z góry czytelnika, że nasza krótka charakterystyka — bo nie piszemy przecie wyczerpującej monografii — opiera się głównie (acz nie wyłącznie) na trzech ostatnich dziełach, które są najważniejszemi, ponieważ w nich Tarde rozwinął obszernie swe *ogólne* poglądy socyologiczne i filozoficzne.

[1]) Les monades et la science sociale, w „Revue Internat. de Sociologie,“ 1893.

[1]) Les lois de l'imitation, str. 397.

[2]) Contes et poèmes, str. 250.

[3]) Les lois de l'imitation, str. IV (przedmowa).

[4]) Por. w naszem „Socyologicznem prawie retrospekcyi,“ str. 26,

[5]) La logique sociale, str. 177.

[6]) Les lois de l'imit., str. 24 etc.

[1]) Pojęcie przeciwieństwa u Tarde'a, „Przegląd filozoficzny.“ 1902.

## LITERATURA I SZTUKA.

# Emil Verhaeren.

W ciemnej grocie, którą oświeca wszystko wkoło krwawiący ogień, stoi przy kowadle olbrzym kowal z ramionami, jak granit a ręką, jak młot i kuje stal; iskry padają, on rzuca na kowadło bóle, rozpacz, porywy namiętności czasów przeszłych, zaprzeszłych, teraźniejszych; w blasku skier ukazuje dawno zmarłe postacie, potężne i mroczne, silne i mające krwawe znamię ruchu, w blasku jego skier zmartwychwstaje ból — pęd, który przed wiekami giął światy, rozpalał dusze, napełniał je żarem i pożądaniem; postacie te wstają z mogił, rozsypanych na cmentarzu wiejskim, z katakumb klasztornych... Gdy robota go zmęczy i zgryzota zbyt silnie szarpać duszę poczyna, rzuca on kucie i siada na progu; w duszy jego wre walka, stopniowo łagodzi ją, lecz nie uśmierza, dzika jakaś determinacya; z równin żyznych potem ludzkim, z dalekich miast wchodzi weń nowa siła, więc idzie znów kuć stal, a z tej stali berło, którem wszystkim błądzącym w oczekiwaniu wskaże — przyszłość.

Ten olbrzym-kowal to Verhaeren.

* * *

Jesteśmy przekonani o nadzwyczajnem rozpowszechnieniu u nas znajomości literatury francuskiej w istocie zaś jest ona niewielką: sprowadza się do paru nazwisk przypadkowym tchnieniem wiatru zaniesionych na naszą glebę. Co wiemy np. o literaturze belgijsko-francuskiej. Znamy nieco Maeterlincka—po za nim nic. A przecie Flandrya, bogata siłą żywotną, zmysłowością Rubensa, spokojną melancholią jednostajnych, cichych płaszczyzn, kanałów i mgły morskiej, jest ojczyzną całego szeregu oryginalnych, silnie indywidualnych talentów twórczych. Do nich należy E. Verhaeren, mało u nas znany a ceniony i wielbiony w Belgii i Francyi.

Trudnem i ciężkiem jest zadanie uchwycenia pewnego zasadniczego rysu organizacyi twórczej, któryby uwypuklał całość i uwydatniał wszelkie dary ducha. W dziełach i duszy Verhaeren'a ową przeważającą stroną jest wielka żywotność. Prawda, żywotność jest cechą każdego twórcy.

Własnym, indywidualnym znamieniem żywotności Verhaeren'a jest jednak wyróżniająca go od innych, niezwykła żywiołowość energii życiowej; pomimo tego, że duch poety wchłonął w siebie wszelkie skarby, które przynosi dobro kultury, pierwotność jego żywotności utrzymała swą potęgę i, gwałtowna, wybuchowa, namiętna, szorstka i ponura, nie zatraca związku z przyrodą. Ma ona w sobie coś z równin flamandskich, z rozlewności dum niespokojnych, jakie nawodzą nizkie brzegi Skaldy i kanałów i coś z ognistej ponurości Hiszpanów, którzy władając Flandryą, przekazali jasnookim córom tych krain swą bezgraniczną, zaciętą dumę i żar południowego słońca.

Tę stronę duszy poety usiłował Marius-Ary Leblond w lutowym numerze miesięcznika *Mercure de France* ująć w określenie: „la survivance flamande de l'Espagne," tem pojęciem oddać ten blask niepokojący, palący, pozbawiony najlżejszego echa ciszy, blask krwawo-złotego słońca Verhaeren'a.

Podkład żywiołowy nie zakrył przed poetą życia zewnętrznego. A życie, zarówno zewnętrzne jak wewnętrzne, pojmuje on, jako niezłomną, ciągłą, nieubłaganą, przemianę. Wszystko, czem karmi i poi chwila obecna swych synów, wszystko to nie jest mu obcem, znajduje własne przetworzenie indywidualne. „Synem jestem tej rasy, której mózgi silniejsze są, niż zęby: są one pożądające i pożerające... Synem jestem tej rasy upartej, której wola przemaga wszystko i sięga dalej, coraz dalej. ....Synem jestem tej rasy, która wznosi coraz wyżej jasny ogień dawnych pochodni... O, rasy pełne wspaniałości — panujcie — bo przez was wola losu staje się coraz bardziej wolą człowieka" (Forces tumultueuses). Duma płynąca z poczucia wszechpotęgi ludzkości, pełna ognia i burzliwego rwania się przed siebie, to znamię twórczej potęgi Verhaeren'a; nadaje ona piętno wszystkiemu, co on pisze, nią przepojone jest każde jego słowo. Jej ciąg dalszy — poryw do naintensywniejszego napięcia energii nadaje wyraz każdemu uczuciu. „Całe życie jest we wzlocie" napisał one na wstępie do „Fornes tumultueuses."

Jako czciciel potęgi, nie był Verhaeren nigdy poetą miłości, w znaczeniu, w jakim są poeci współcześni, dla których miłość, to skupienie wszelkich cichych i głośnych, wrzących i spokojnych westchnień duszy. Nie, jego porywy miłosne, to nadmiar sił dziecięcia natury, to szał wizyi i potęga ciała. W niej jest on bratem Rubensa i jego uwielbienia dla pulsującej krwi kształtów silnych i muskularnych. Charakterystycznym jest w tym względzie wiersz p. t. „Kato" (cykl: les bords de la route). Dla niego ciało kochanki — to nie lilia biała, ani róże, ani nenufary, lecz pełen dumy kwiat „georginii," który jesienią w ogniu gry żądz, w dobie dojrzewania, wznosi się ku słońcu. Kochanka jego to olbrzymka z praczasów, darząca wielką namiętnością żywiołową, niemającą nic wspólnego z dzisiejszymi przejawami tego uczucia.

Miłość u Verhaeren'a, to jedna z potrzeb życia. A życie płomieni jego duszę; wrze w niej ciągła walka najróżnorodniejszych kontrastów, które ścierają się gwałtownie, przeklinają; łączy je w jedno duma poety, znająca potęgę uczuć człowieka i wszechmoc ich potęgi. Ta duma nie pozwala duchowi stać w miejscu...

Morze uderza gwałtownie o brzeg, skały drżą i jęczą. Przy trzeszczeniu masztów i rwaniu się żagli wyrusza okręt, na którym, wieczny wędrownik, duch człowieczy pędzi na wzburzone wody. „Ku jakim celom, nieznanym a szalonym; ku jakiemu słońcu, ku jakim szaleństwom?" pyta nienawidząca spokoju dusza poety. To znowu woła: „Wybierzcie dobrze przystań, skąd wyruszą wasze marzenia, i później bez żalu podążajcie ku tłumom o czołach ogorzałych, których pożądania są jako miecze... Fale się podnoszą, potężne i szalone, żeglarze spieszcie na morze."

Wieczna wędrówka daje nietylko upojenie, niesie ona i cierpienia, lecz w tem cierpieniu leży potęga, a potęga — to człowiek. Kto zaznał rozkoszy podróży, ten utracił słodkie, jasne szczęście zadowolenia oraz śpiącego życia i dla spokoju czuje wielką pogardę. Umiłowanie to dosięga najwyższego napięcia w okrzyku: „Bądź swym własnym katem, nie pozbawiaj się umiłowania samomęczenstwa." I w tej męce, w tem katowaniu samego siebie wyczuwa on potęgę cierpienia.

Cześć swą dla potęgi wypowiedział Verhaeren w ostatnim zbiorze p. t. „Forces tumultueuses." Potęgą jest sztuka, wciąż rozszerzająca swe królestwo; potęgą — miłość. Venus umarła i ustąpiła miejsca boleściwej Magdalenie; po tej nadeszła ubrana w krwawą szatę Venus 99 roku i daje nową rozkosz, nie przejawia się między bogami, ani na klęczkach przed ołtarzem, lecz w ludzkości, poprostu człowiecza jest i macierzyńska. Wielką potęgą, potęgą doby dzisiejszej jest nauka. „Okrzyk Fausta przestał być naszym. Duma czoła, wystawionego na wichry, świeci jasno i wysoko, żar wrócił między nas; umarły zwątpienia, *i wierzymy w to, co inni wiedzieć będą*." Lecz najwyższą potęgą, potęgą potęg jest wola — niezłomna, twarda jak skała, gwałtownie i namiętnie pożądająca wciąż nowych podbojów. Synami jej są mistrze. Byli nimi mnisi, którzy świat swój cały korzyli pod znak krzyża. Jest nim wódz, którego dusza pełna dumy i woli, a oko — rozkazu, który wiedzie i kuje dzieje; jest nim trybun, który idee zrodzone w własnym mózgu wprowadza w szpik, muskuły i ciało ludzkości; jest nim bankier, który, ujarzmiając królów i narody, z głębi swego fotela kreśli losy mórz i państw; jest nim tyran, który wszystkich czyni swymi niewolnikami.

(D. n.)

*Zbigniew Brodzki.*

## NOWE KSIĄŻKI.

— A. Kraushar: **Barss**, palestrant warszawski, jego misya polityczna we Francyi (1793—1800), Warszawa.

Zasłużony badacz dziejów naszych ma już wiele tytułów do naszego uznania za wydobycie na światło ludzi i rzeczy zapomnianych a bardzo ciekawych. Prawie każda książka Kraushara jest pracą źródłową, rozszerzającą zakres naszej wiedzy. Tym razem autor oświetlił nam spowitą dotychczas w mrokach postać, która w stosunkach między konającą Polską a odradzającą się Francyą odegrała bardzo ważną rolę. Po ostatnim rozbiorze i nieszczęśliwem przedsięwzięciu Kościuszki rozbitki z zatopionego okrętu próbowali wyciągnąć go z toni zapomocą Rewolucyi francuskiej. Było w tym zamiarze i nadziei dużo naiwności, przypuszczającej, że naród obcy, bezpośrednio niezainteresowany, poświęci się dla „miłości bliźniego." Pomimo że każda odpowiedź rzekomych zbawców, a istotnie trzeźwych polityków, była dla marzycieli strumieniem zimnej wody, łudzono się do końca. I właśnie pośrednikiem w układach, niezmordowanym zabiegaczem i hodowcą tych złudzeń był zacny, dzielny, wytrwały Barss, którego dotąd w wykładzie historyi naszej pomijano, a którego Kraushar w niej utrwalił.

— A. G. Bem: **Studya i szkice literackie** (str. 316).

Należało zrobić to, co zacnie i umiejętnie zrobiło grono, ceniące i szanujące zmarłego, wydając jego prace z piękną przedmową J. Chrzanowskiego. Znajdują się tu rozprawy: Grzegorz z Sanoka, Śmielsze błyski humoru satyrycznego, Obywatel polski z doby romantyzmu, „Wizerunek" Reja, nadto sylwetki Trembeckiego, J. B. Zaleskiego, Towiańskiego, Bełcikowskiego, Asnyka, Pługa i Orzeszkowej. Czytelnikom *Prawdy* znane są niektóre z tych szkiców i wogóle gruntowność badania oraz wytworność przedstawienia Bema. Był on nietylko myślicielem, ale i artystą, po którym literatura mogła była odziedziczyć wspaniałą puściznę, gdyby długoletnia choroba w ciężkich warunkach pracy, a wreszcie przedwczesna śmierć nie zgasiła tego gorącego ducha. Ale i ta pamiątka jest bardzo cenną.

— T. Dydyński: **Historya źródeł prawa rzymskiego** (str. 434).

Autor należy do bardzo szczupłego u nas grona uczonych, którzy nie używają sławy na kredyt, lecz prowadzą samodzielne badania i ich wyniki ogłaszają w języku ojczystym. Jako profesor prawa rzymskiego, naprzód w Szkole Głównej, a następnie w Uniwersytecie warszawskim, Dydyński wielu pokoleniom słuchaczów dał tę wiedzę, którą obecnie zawarł w obszernem dziele, przypisanem „mło-

dzieży akademickiej," poświęcającej się tym studyom. Ładna i prawdziwie profesorska pamiątka.

## NA MARGINESIE.

**Autobiografia Multatulego.** Wzrastające zainteresowanie się Multatulim wywołało wydawnictwa i poszukiwania dzieł jego. Na szczególną pod tym względem uwagę zasługuje niedawno wydrukowana książka dr. A. S. Koka i Ludwika D. Petita pod tytułem „Multatuliana," zawierająca wyczerpującą bibliografię wszystkiego, co napisano o Multatulim, i cały zbiór nieznanych dotąd jego listów, artykułów itp. Znajduje się tu także charakterystyczna biografia tego pisarza, napisana przez niego samego na prośbę Taco de Beera, który, opracowując literaturę holenderską dla słownika Spamera, zwrócił się do autora „Havelaara" o szczegóły biograficzne.

— „Daruj mi pan — pisze Multatuli —że ci tak długo na odpowiedź czekać kazałem. Ale kiedym twój pierwszy list otrzymał, znajdowałem się w trudnem położeniu: nie miałem mieszkania. Domagasz się pan szczegółów charakterystycznych z mojego życia. Do najgłówniejszych zaliczyć należy straszny wstręt do pisania. Masz więc pan, szanowny zbieraczu autobiografij, jedną właściwość i to nie byle jaką. Po za tem — urodziłem się 2 marca 1820 r. Moi rodzice byli zamożni i bogobojni, lecz bardzo uczciwi. Z tych trzech rodzicielskich właściwości na mnie przeszła w spadku tylko ostatnia. Mając lat 8, pisałem już wiersze, które grzecznych gości w zachwyt wprawiały. Z chwilą jednak, kiedy zaczęło się budzić we mnie uczucie wstydu, dałem pokój rymowaniu. Trudno sobie wyobrazić, ile pięknych wierszy przez to przepadło. Chodziłem do szkół, które uważano za dobre, gdzie ja jednak niczego się nie nauczyłem. Po pierwsze dlatego, że nic nie były warte, a powtóre, że ja wolałem się bawić. Cóż więcej, o nieba, mam jeszcze powiedzieć? Co właściwie przystoi dla słownika takiej firmy Spamer?. Jestem przekonany, że całe Niemcy pałają ciekawością usłyszenia, jak ja się rozwijałem. Tymczasem, miły panie, ja się całkiem nie rozwinąłem. I nietylko ja jestem tego zdania. Kiedy w pismach holenderskich mówi się o literaturze, o mnie wspomina się rzadko, co ja zresztą wysoko cenić umiem.

Czy pan jesteś pewien, że firma Spamer wiadomości pańskich nie sprawdza? Bo muszę ostrzedz pana, że tu w Ingelheim tylko niewielu znanem jest, jaki zawód narzucają mi Niderlandy. Policya zapisała mię jako „rentiera." Nuż więc Spamer zechce zasięgnąć wiadomości o mnie u tutejszych obywateli. Czyby nie właściwiej było przeto dać mi w słowniku miejsce pomiędzy bankierami?

Tak, tak. Powiedz panSpamerowi, że ja się w Indyach zbuntowałem przeciwko rządom despotyzmu i za to wdzięczny naród obdarował mię skarbami. Ale nie mów mu pan, że ci i owi za śmiałe spełnienie obowiązku obrzucili mię łajaniem, zniewagami, oszczerstwem. Niejednego mogłoby to odstraszyć od robienia dobrze. Prócz tego strzeż się pan, proszę, obudzenia w Niemczech mniemania, że moje poświęcenie i zabiegi przydały się na co prześladowanym wyspiarzom — przeciwnie. Holandya zaś, w sprawiedliwem uznaniu moich usiłowań, pospieszyła obdarować mię paru milionami, których użyję, ażeby sobie sprawić sekretarza i moje bezużyteczne pióro złamać nazawsze w obawie, by moi wrogowie nie podali mię za fabrykanta książek. To pan powiedz Spamerowi."

W dalszym dopisku dodaje:

„Moja odpowiedź na pańskie pytanie jest tylko wybrykiem dobrego humoru, niczem więcej. Takich próśb otrzymuję wiele. Zazwyczaj na nie nic odpowiadm, gdyż za dumny jestem, ażeby dać się wciągnąć na listę wszelkiego rodzaju bieżących znakomitości. Otwarcie wyznaję: że beletrystyka obmierzła mi. Prawda, że książki pisałem, ale zawsze robiłem to, protestując z całej mocy. Czyż za to w Niemczech, gdzie ci niewielu, co mię znają, uważają mię za porządnego człowieka, mam zostać oczerniony?

O moim wstręcie do pisania świadczy to, że miałem już lat 40, kiedy mię zmuszono do napisania „Havelaara."

Gdyby jednak Spamer wydawał słownik ludzi, którzy poświęcili się spełnieniu obowiązku i za to od marnego tłumu umęczeni zostali, to nie zapomnij pan pomieścić w nim i mego nazwiska. Choćby to była najcieńsza książeczka."

## Z PRASY.

Artykuł p. Spasowicza o j ę z y k u p o l s k i m w s a m o r z ą d z i e g m i n n y m, drukowany w *Now. Wrem.*, który przytoczyliśmy w obszernem streszczeniu w nr. 21 *Prawdy*, wywołał wymianę różnych zapatrywań w prasie rosyjskiej. W temże samem *Now. Wrem.* ukazała się następująca korespondencya:

„Kto zna dobrze stosunki, ten wie, że sprawa języka rosyjskiego, poruszona przez p. Spasowicza, jest tylko nieporozumieniem. Istniała ona istotnie przed 36 laty, lecz oddawna już została pogrzebaną i obecnie niema jej i być nie może. Język rosyjski, jako język państwowy w Kraju Nadwiślańskim, jest obowiązującym dla wszystkich organów rządowych i publicznych i w żadnym wypadku te dwa języki nie są w użyciu.

Począwszy od 1867 r. cała zarówno gubernialna administracya Kraju, jak powiatowa i gminna, prowadzi swoje czynności wyłącznie w języku rosyjskim. Od 1876 r. język ten używa się wyłącznie w instytucyach sądowych ogólnych i gminnych, w tym języku są spisywane przez duchowieństwo akty stanu cywilnego, w tym języku prowadzą korespondencye konsystorze i Towarzystwa kredytowe ziemskie. W sądach i administracyi wolno jest używać tłomacza dla stron, nieznających języka rosyjskiego, ale do usług tłomaczy prawie się nie uciekają (oni figurują tylko w etatach), bowiem przez ciąg lat 35 ludność, ucząca się w szkołach, zapoznała się z nim w stopniu należytym.

W r. 1876 przy otwarciu nowych instytucyj sądowych, gdy przed stołem sędziowskim ukazali się po raz pierwszy mecenasi, patroni i obrońcy, położenie ich, jako ludzi już poważnych wiekiem, zdawało się trudnem, ale ta trudność prędko znikła. Panowie adwokaci zaopatrzyli się w słowniki, w klubach i salonach starali się z Rosyanami mówić po rosyjsku. Członkowie sądów poważnie i delikatnie zachowywali się względem błędów językowych i w krótkim czasie adwokatura miejscowa przyswoiła sobie, a raczej powróciła do języka rosyjskiego, zniesionego w 1863 r. A proszę teraz posłuchać potoków krasomówstwa w sądach! Nie można odróżnić warszawskiego adwokata od petersburskiego, a nie czyni to żadnej krzywdy narodowości. Od r. 1876 sądy gminne czysto włościańskie (?) prowadzą czynności w języku rosyjskim. Prezesowie sądów gminnych, sądziowie gminni od lat 25 bardzo pięknie mówią i piszą w języku rosyjskim, tak dobrze w sądach gminnych, jak i w sądach zjazdowych.

Gdy właściciel ziemski poczuje chęć zostania „panem sędzią," odrazu ujawnia się w nim dostateczna znajomość języka rosyjskiego. Oczywiście są wyjątki. Są właściciele ziemscy i obywatele miejscy, którzy nie chcą posyłać dzieci do miejscowych zakładów naukowych i wychowują je w Krakowie, Lwowie lub innych miastach za granicą, gdzie nie zaszczepiają w młodem pokoleniu sympatyi dla języka rosyjskiego, ale Bóg z nimi, z takimi panami. Im mniej ich będzie w samorządzie miejskim, tem lepiej dla kraju, bo nic dobrego oni z sobą nie wniosą!

W gminnym samorządzie włościańskim od r. 1868 wszystkie czynności, nie wyłączając uchwał gromadzkich, prowadzą się w języku rosyjskim. Wójci gmin, pochodzący z wyborów, wszyscy znają język rosyjski. Po rosyjsku mówią i piszą wszyscy członkowie różnych komisyj i kolegiów: drogowych, ogniowych, wojskowych, sanitarnych, magistratów lub rządów gubernialnych, a pomimo to nie przestają być Polakami.

Widzimy więc, że język państwowy dawno zajmuje trwałe i właściwe mu stanowisko w życiu Kraju Nadwiślańskiego. Niema też żadnej podstawy do ograniczania jego użycia w przyszłych instytucyach samorządu miejskiego. Przeciwnie, nie można pomijać nader doniosłej sprawy państwowej, dotyczącej wyłącznie tych 109 miast polskich, o których wzmiankuje prof. Spasowicz. Sprawa ta ma znaczenie historyczne, a polega na tem, że miejska ludność Polski była nam zawsze nieprzyjazną, zawsze przyprawiała rząd o największe kłopoty i dąsa się dotychczas — *ergo* wszelki środek, zmierzający do większego zlania panów obywateli miejskich z państwem, będzie bardzo na czasie i bardzo pożyteczny, zaś jednym z takich środków będzie niewątpliwie doniosła rola języka rosyjskiepo w samorządzie miejskim.

Przeciwko przypuszczeniu p. Spasowicza, że wyłączne stosowanie języka rosyjskiego w samorządzie gminnym zniewoli lepszych kandydatów na rajców do wyrzeczenia się tej godności z obawy, że się krzywda stanie ich narodowości, dowodów przytaczać nie będę, bo podane już wyżej. Można tylko dodać, że deputowani do parlamentu w Niemczech i Austryi, nienależący do narodowości niemieckiej, nigdy jeszcze nie wyrażali obaw co do tego, że używany wyłącznie w parlamentach język niemiecki, jako państwowy, przynosi szkodę ich uczuciom narodowościowym."

— P. Niemirowicz-Danzenko, korespondent *Russk. Słowa* tak opisuje podróż koleją Syberyjską:

„Na następnej stacyi dowiadujemy się przyjemnej rzeczy: droga zajęta. Kilkanaście pociągów stoi przed nami, paraliżując dalsze posuwanie się.

— Kiedy ruszamy? — pytam konduktora.

— Nie wiem —brzmi lakoniczna odpowiedź.

Naokoło pustkowie.

Nie widać ani fanzy, ani wsi. Życie jakby zamarło. Jesteśmy tylko my i ów mizerny dworzec kolejowy z typowym chińskim dachem, obrażającym uczucia gorących patryotów.

Oto na horyzoncie ukazał się oddział straży pogranicznej, tropiący chunchuzów, przekradających się tutaj z Mongolii. Ale i oddział zniknął i słońce zaczyna się chylić ku zachodowi, oblewając purpurą wierzchołki gór. Konduktorzy pozapalali światła. Powoli mrok ogarnia step. Monotonia obrazu zapada w duszę sennością. Powracam do wagonu, wyciągam się na ławce i — budzi mnie jasny promień słońca, rażący oczy.

Dzień biały.

— Gdzie jesteśmy?

— Ciągle na tej samej stacyi.

Żądam gorącej wody do herbaty.

— Niema! — słyszę odpowiedź.

— Dlaczego?

— Wszystka wypita.

— Dlaczegóż nie przygotowano drugiej?

— Przepraszam pana — oburza się naczelnik stacyi — nam nawet dla parowozów nie wystarcza wody. Trzynaście ich wysuszyło studnię do dna. A przytem, kto panu będzie wodę gotował? Jest to obowiązkiem służącego-Chińczyka. Ale on od 32 godzin jest na nogach i od ciągłej bieganiny aż mu głowa spuchła. Czy należy mu się wypoczynek? Jak się panu wydaje? Kazałem mu iść spać.

— Dlaczegóż nie dodano mu pomocnika?

— Dlatego, że na ten cel zarząd nie daje pieniędzy.

Żołnierze głodni, kozacy również. Dla zabicia czasu zaczynają śpiewać, ale jakoś im

nie idzie. Pożywienie na nich czeka dwie stacye naprzód, dokąd mieli przybyć jeszcze wczoraj w południe. Tutaj niema ani czem, ani gdzie ich nakarmić. Wszędzie na punktach posiłkowych można spotkać doskonałe „szczi“ i kaszę, niemogące się nawet porównać pod względem dobroci z temi obrzydliwościami, które za drogie pieniądze sprzedają w bufecie.

Ale do tych przysmaków trudno się dostać żołnierzowi. A to droga zajęta, a to ktoś przejechał „ekstra“ i zepsuł cały porządek ruchu pociągów...

— Dawniej bufet był znakomity — bronił się dzierżawca — ale obecnie kazali płacić wysoką tenutę i niema nic.

Także wybrali odpowiedni czas na podwyższenie dzierżawy!

— Trzeci dzwonek...

Zaraz ruszamy.

— Przepraszam pana — zwracam się do konduktora — a kiedy był drugi dzwonek?

— Wczoraj wieczorem...“

## KRONIKA.

— Aleksander Świętochowski wyjechał na kuracyę za granicę.

**Wiadomości społeczne.** *Warsz. Dn.* donosi, że skutkiem zastoju w handlu i przemyśle w Królestwie Polskiem, część robotników, pozostałych bez pracy, postanowiła poszukać jej sobie w guberniach wewnętrznych, licząc na to, iż przy obecnej, wzmożonej czynności w dokach i arsenałach, na ręce robocze powinien być popyt niemały. Grupa robotników z Łodzi i Tomaszowa, przeważnie ślusarzów i kowalów, wyjechała do Sewastopola, inni udają się do Petersburga.

— W *Kur. Sosnowieckim* czytamy: „Zarząd kopalni „Saturn“, pragnąc przyjść z pomocą robotnikom, zorganizował kursa wieczorne dla analfabetów. Otóż w pierwszym dniu lekcyi stawiły się do nauki 3 osoby, kilkadziesiąt zaś stanęło za oknem, manifestując swoje niezadowolenie gwizdaniem i szyderczymi wybuchami śmiechu. Zapytani, czemu tak niechętnie zapatrują się na szkołę, mieli odpowiedzieć, że przecież to wstyd na starość brać się po żakowsku do książki i kajetu. Inni stawiali sprawę w ten sposób, że właściciele kopalni bez interesu nie mogą otwierać szkoły, a że kopalni na tem zależy, żeby chodzono do szkoły to widać choćby z tego, że nawet na książki i kajety „mani“ ludzi i daje je darmo. „Coś oni w tem mają, pieruny!“ — kończy zwykle swoje wyjaśnienie taki nieprzejednany przeciwnik. Niektórzy znów wyjaśniają sprawę, rzucając domysł, że kopalnia chce górników nauczyć czytać i pisać, aby później, uzyskawszy ich podpisy, przeprowadzać swoje własne plany ze szkodą pracujących: „A jak nie będę chodził do szkoły, to ki mie pierun powi, że ja pisać umie?“ W ciągu miesiąca zgłosiło się do nauki około 20 osób, z których do świąt dotrwało 9.“

— Pomimo ostrzeżenia pism hebrajskich, liczba Żydów, przybywających do Warszawy w celu wyszukania pracy, wciąż wzrasta. Do biura informacyjnego Tow. „Pomocy bratniej“ zgłasza się codziennie po kilkudziesięciu-przybyszów i tu dowiadują się, że nawet dawniej osiedli w mieście ich współwyznawcy nie mają zajęcia.

— Oddziałom Banku państwa polecono, ażeby wakujące posady urzędników obsadzone były przez kandydatów posiadających świadectwa z ukończenia średniej szkoły handlowej, rządowej

— Na drugiej międzynarodowej konferencyi kobiet w Berlinie uchwalono organizacyę międzynarodową dla wywalczenia politycznej samoistności kobiet.

— W ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu podpisano konwencyę, uchwaloną na międzynarodowym zjeździe w sprawie zwalczania handlu [illegible].“

**Szkoły i wychowanie.** Minister oświaty, w celu zapobieżenia na przyszłość uchylaniu się stypendystów rządowych od przyjętych zobowiązań (najczęściej przesłużenie paru lat bezpłatnie), zwrócił się do kuratorów okręgów naukowych z propozycyą, aby polecili wyższym zakładom naukowym ściągać od wszystkich stypendystów zobowiązania piśmienne, co do spełniania przez nich obowiązków i warunków, związanych ze stypendyum. W razie nieukończenia danego zakładu naukowego, stypendyści winni zwrócić pobierane przez nich zapomogi.

— Utrzymującym prywatne szkoły początkowe, jedno i dwuklasowe odmówiono pozwolenia na otwieranie klas przygotowawczych do szkół średnich, natomiast przyznano prawo otwierania oddziałów równoległych w razie nadmiaru uczniów.

**Wiadomości naukowe.** Akademia Umiejętności w Krakowie podaje wiadomość o wakującem stypendyum im. Adama Mickiewicza w kwocie 2,000 koron, z fundacyi P. Radzimińskiej, dla kandydata ze stopniem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego, pragnącego dopełnić studyów w pewnym kierunku za granicą. Podania wnosić należy do 15 czerwca r. b. Pierwszeństwo mieć będą pochodzący z Królestwa Polskiego. — Prócz powyższego Akademia ogłasza konkursy im. Mikołaja Kopernika na następujące tematy: 1) „Opracować stosunki klimatyczne Galicyi, ze szczególnem uwzględnieniem wpływu Karpat na wiatry i opady.“ Nagroda 1,000 koron; termin do końca lutego 1906 roku. 2) „Zbadać metodą, wskazaną przez A. Schustera (patrz czasopismo *Terrestrial Magnetism* 1898), lub podobną, o ile okresy zmian szerokości geograficznych, podane przez Chandlera, Kimurę i in., są istotne — czy nie.“ Nagroda 1,000 koron; termin 31 grudnia 1908 r. Autor pracy, uwieńczonej nagrodą, zatrzymuje jej własność.

**Literatura i prasa.** Zniesiono zakaz sprzedaży numerów pojedyńczych *Pet. Wiedom.*

**Ze sztuki.** Dnia 4 b. m. otworzono „Lwowski Salon [illegible]“

— W roku przyszłym odbędzie się w Monachium wystawa prac zmarłego Fr. Lenbacha.

**Sprawy ekonomiczne.** W *Gaz. Polskiej* czytamy: W czasach ostatnich w biurach rejentów warszawskich panuje niezwykłe ożywienie, skutkiem napływu znacznej liczby wekslі, przedstawianych do protestu. W niektórych biurach dependenci od rana [illegible] zatrudnieni są doręczaniem protestów. Bywają dni, w których rejenci nie mogą zadośćuczynić wszystkim żądaniom. To samo daje się podobno obserwować w biurach rejentów łódzkich, świadcząc o wielkim zastoju w przemyśle i handlu.

— *Nowosti* obliczają na podstawie zmniejszenia się rachunku bieżącego skarbu w Banku państwa, że ko[illegible] średnio 1,900,000 rb. dziennie.

**Koleje i komunikacye.** Według przepisów ogłoszonych w *Praw. Wiest.* za przejazd dorosłych w klasie IV w komunikacyi miejscowej i bezpośredniej cena biletu wynosić ma połowę wartości biletu klasy III, dzieci do lat 5 są wolne od opłaty, od 5—10 opłacają połowę biletu dorosłych. Od pakunków, po odtrąceniu ulgowego puda od całego biletu i pół puda od dziecinnego, pobierana będzie opłata za pierwsze dwa pudy po $^{1}/_{12}$ kop. od puda i wiorsty, a po nad tę normę — według taryfy ogólnej dla klas niższych. Do przejazdu klasą IV mają prawo grupy złożone najmniej z 40 osób, jadących do jednej miejscowości, w wyjątkowych jednak razach zarządy kolei mogą stosować taryfę ulgową do grup mniejszych, a nawet do osób pojedyńczych.

**Pożary.** We wsi Królowa Wola, nad Pilicą, spaliło się około stu zabudowań z ruchomościami — straty obliczają na 50,000 rb.

— W Witkowie, w Galicyi, pożar zniszczył 200 domów; 12 osób straciło życie w płomieniach.

**Zmarli.** Tadeusz Romanowicz, działacz społeczny w Galicyi, b. redaktor *Nowej Reformy* i *Słowa Pol*[illegible]

— Daniel Filleborn, słynny przed dwudziestu kilku laty artysta opery warszawskiej.

— Herman Rollet, nestor poetów austryackich, twórca poezyj patryotycznych i fanatyczny wielbiciel wolności, w 84 roku życia, w Badenie.




Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Мая 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.